J.-A. KISIELEWSKI.

W SIECI.

-1899-

W SIECI.

Wesoły dramat.

Dylogia:

I. W SIECI. Komedya.

II. OSTATNIE SPOTKANIE. Komedya.

(Wydanie sceniczne).

W SIECI.

KOMEDYA.

RADCA CHOMIŃSKI
P. CHOMIŃSKA

ICH DZIECI:

EMILIA
JULIA
MICHALINA
WIKTORYA
CESIA
JÓZIO
FREDZIO

JERZY BOREŃSKI
STANISŁAWA PODLIPSKA
ALEKSANDER ROLEWSKI
BRONIK
KATARZYNA.

Salonik pp. Chomińskich urządzony dostatnio. Meble typowo mieszczańskie, współczesne, składające się z dwóch garniturów: jeden stary, przetarty, drugi nowy, zasłonięty pokrowcami. Na ścianie lustro, zegar, kilka oleodruków. Kanapa duża w głębi, u przodu zaś mała, dla dwóch osób, respective dla dwojga. I jeszcze fortepian — rozumie się samo przez się. Są dwa okna, osłonięte firankami kremowemi i cerowanemi, są drzwi: jedne wiodą do przedpokoju, drugie do pokoju radcy Chomińskiego, trzecie do kuchni i pokoiku Jerzego. Drzwi są bez portyer.

A było to w piątek dnia 8 lutego, roku 1898. Popołudniowe słońce złocistą falą zalewało pokrowce i cerowane firanki — igrało... nie, całowało... nie, nie całowało, tylko muskało. I to nie. Zresztą mniejsza o słońce.

Wystarczy powiedzieć poprostu: był to jeden z tych mroźnych a słonecznie jasnych dni zimowych, kiedy to śnieg pod nogami... Nie, nie, nie. Znamy już tę bajeczkę.

W salonie są ludzie. Właściwie kilka osób i dwoje ludzi. Te osoby to siostry Chomińskie; panna MISIA, dziewica śpiewająca pięknie, choć tylko po domowemu, a w wolnych od śpiewnego gadania chwilach, wyszywająca na kanwie wzorzyste arcydzieła. Oprócz tego jest w wieku około lat 20-tu. A więc panna na wydaniu. Druga dziewica na wydaniu — zwie się panną WICIĄ, ma lat 19, zadarty nosek, perkatym zwan; jest sucha, wysoka, grzeczna, wykwintna; gra na fortepianie, jakoteż interesuje się, ale tylko po domowemu, współczesnym ruchem emancypacyjnym kobiecym. Mówi przez nos, chociaż nie jest »czarnym charakterem«. Ale nie śpiewa: i wcale nie śpiewa. Są jeszcze dwie małe osoby: JÓZIO, młodzian wesoły, dumnie noszący wyłogi srebrne ucznia I klasy gimnazyalnej — i brat jego, pięcioletni FREDZIO, w majteczkach.

Pół osoby i pół człowieka to CESIA, lat mająca 12 i krótką spodniczkę i długi warkocz z kwiatkiem na plecach. Przechodzi ząbkowanie psychiczne, czyli jest w cielęcych latach, uczęszcza do klasy pilnie, kocha się skrycie, a bez wzajemności w Boreńskim.

Z innych osób poznamy później pannę EMILIĘ, w leciech pełnych, najstarszą (24 lat) z panien na wydaniu, zgryźliwą nieco, trawioną lękiem, iż po ostatnim konkurencie zdrajcy, nie łatwo znajdzie się sequens. Mowę ma ostrą, świszczącą piano; jest gładka w obejściu,

a zła w spojrzeniu. Wprawdzie nie czarny, ale przynajmniej ciemny charakter. Poznamy: matkę, PANIĄ CHOMIŃSKĄ, lat mającą 40, jeszcze piękną i świadomą tej zalety; żonę męża swojego pana Radcy, bardzo porządną, uczciwą, dobrą gospodynię, surową matkę dzieciom, sekretarkę Tow. św. Wincentego à Paulo, członka komitetu »dla głodnych dzieci« etc. etc. i wiecznie zapominającą kluczyków stalowem kółkiem spojonych.

Kilkakrotnie ukaże się oczom naszym stara, głucha KATARZYNA, w czerń świętobliwą odziana, baba mrukliwie-gderliwa, wierna sługa domu; od lat 40 (u Chomińskich od 20) jest »w obowiązku« w mieście, a jednak obyczaj wiejski chowa, o czem przekonamy się później. Naiwnie piękny zwyczaj. Jest tedy naiwną służącą lat 60.

JULIA CHOMIŃSKA, uczenica szkoły malarskiej, która od lat 20 przeszło t. j. od chwili urodzenia, a raczej «wyrodzenia się« z pośród rodziny, musiała żyć wśród »osób« powyżej skreślonych — jest całą młodą kobietą. Drugi cały człowiek, ale nie cały jeszcze mężczyzna — to JERZY BOREŃSKI, mężczyzna-dzieciak. Jest w latach cielęcych, ale innych, niż Cesia.

Wraz przekonamy się, iż Julia jest malarką, albowiem ma na sobie fartuch malarski długi, stoi przed stalugami i portretuje Jerzego siedzącego w fotelu; że Boreński jest literatem, ale początkującym, bo ma długie kędziory i niestrzyżoną bródkę i kamaszki sfatygowane i surdut stary, choć czysty; na nosie szkiełka, w ustach papieros. Po tem poznaje się literatów. Początkujących.

Poznamy jeszcze młodego malarza-cygana, BRONIKA, zwanego BACĄ, który przed 24 laty urodził się w Warszawie, obecnie siedzi w Krakowie; przed wyjazdem do Paryża zatrzymał się tu był dla obejrzenia Matejki i od trzech lat codziennie »jutro« wyjeżdża do Paryża. Oprócz tego kocha się w góralach zakopiańskich, nosi ciupagę, kapelusz huculski, serdak i naśladuje tatrzańską gwarę. Na stopach balowe lakiery, na głowie czupryna półkrótka, z zasady nie czesana, zarost mickiewiczowski.

Mówi chodząc między stołkami i osobami, nie uśmiecha się nigdy; oczy ruchliwe, niepewne; unika wzroku osób i ludzi, lecz nie dlatego, że ich nie lubi, lub że oni go nie kochają — tylko już taki jest dziwny. To jest Bronik zwan Bacą.

Stłumione akordy introdukcyi: to pewnie panna Wicia gra.

— Podnieść zasłonę! Niech się rozpocznie taniec sceniczny!

JERZY, JULIA, MISIA, WICIA, CESIA, JÓZIO, FREDZIO.

MISIA.

Tylko proszę nie krytykować. Hm — hm. *Śpiewa pieśń: »Maritana«.*

Niekiedy życia łzawy bieg
Radości błyska dniem;
A co młodzieńczy marzył wiek
To było — tylko snem.
Wydziera nieubłagany czas
Marzenia młodych lat;
Ach! nawet w szczęściu chmurzy nas
Stargany marzeń kwiat.
Tragicznie. Wydziera nieubłagany czas
Marzenia młooodych lat,
Ach! nawet w szczęściu chmurzy nas!
Hm — hm! Stargany marzeń kwiat.

Oklaski.

JÓZIO.

To było śliczne.

WICIA.

Takie smutne, aż się płakać chce. Naprawdę.

JERZEMU wyrywa się westchnienie.

MISIA spojrzała nań piorunująco.

Ja wcale nie śpiewam dla czyichś tam braw.

CESIA.

Nie śmiejcie się. W tej pieśni jest dużo słuszności.

JERZY.

Ależ panno Michalino!

MISIA.

Doskonale wiem, że nie mam żadnego op-herowego głosu. Odwraca się.

JERZY stanął u przodu sceny, szarpie bródkę.

Ależ panno Michalino! Ja nie miałem, ja nie żywiłem najmniejszego zamiaru, ani chęci...

JULIA.

Będziecie wy cicho! Nie przerywajcie mi seansu — siadać!

MISIA robi zdziwienie piskliwe.

Ale co panu się stało! Szybko. Ja wcale nie obraziłam się, ani mi to w głowie nie było, ja wcale nie obraziłam się, każdy może mieć swój sąd; ani mi się śniło obrażać. Co panu się stało!?

JULIA do Jerzego.

Widzicie! Chwycił kozak tatarzyna, a tatarzyn za łeb trzyma. Dobrze wam tak, dobrze wam tak.

FREDZIO.

Misia jak śpiewa, to się tak nadyma i tak nogą tupie i tak tupie lewą i tak szyję wyciąga i tak i tak...

JULIA.

Ty berbeciu mały. Dawaj pysiek! Całuje dziecko.

MISIA chłopaka za ucho.

Smmarkaczu jeden!

FREDZIO.

Miśka! Tuli się do Julii.

JULIA.

Dajże dziecku pokój! Tuli Fredzia do piersi; z serdeczną pieszczotą. Nie becaj, nie bec! Wygoi sie do weszela, wygoi — a, o!

FREDZIO

przestępuje z nóżki na nóżkę, szarpie fartuszek. Tragicznie cicho.

Julciu... Julciu...

JULIA.

A, ty! A wynocha, wynocha!

JÓZIO biegnie.

Fredek, a chodźże prędzej! Uciekają strapieni.

WICIA odwraca się; wstydliwy uśmiech.

JULIA.

Strach ma wielkie oczy.

CESIA

nie posiada się z rozkoszy. Zasłoniła się książką.

JERZY usiłuje utrzymać powagę.

JULIA.

Widzicie to wszystko przez was.

CESIA krzyknęła śmiechem wielkim. Znikła.

JERZY.

Mnie jest bardzo przykro, że panna Michalina obraziła się.

JULIA.

Borecha! A będzie raz z tem koniec. Z was jest model — no! Siadać!

WICIA.

Misia śpiewa całkiem ładnie. Po domowemu, ale z uczuciem.

JULIA.

Wicia, jeżeli sobie nie pójdziesz, to cię wyrzucę. Już dosyć mam.

WICIA.

Oho, panna Julia znowu ma dzisiaj »osstry szał«.

JULIA.

Teraz proszę, spokojnie — papieros odłożyć — zabieram się do ust. No; nie robić mi takich min. Krzywi się to, jakby mu dali octu siedmiu złodziei.

WICIA.

Życie nie jest zbyt słodkie.

JULIA.

Bo się nazywa »życie«, a nie »panna Wicia«. Do Jurka. Czasem macie taki dobry wyraz!... Uśmiechnąć mi się zaraz! Jura! No, przecież! Maluje.

JERZY.

Hehehe! Bo wy mnie chcecie koniecznie zrobić słodko-mdłym, a tu ma być portret nie z chwili, ale cały charakter, sądzę.

JULIA.

Co wy mi tam bajecie o, o, o charakterze. Już ja wiem, czego chcę. Wyciągnąć na płótno choć szczyptę tego słońca, które jest tu.
Wskazuje pierś Jerzego.

WICIA.

Zapominasz, że pan pozuje. Do portretu.

JERZY.

Ja, pozuję?! To proszę nie zapominać, że »Duo cum faciunt idem — nnon est idem«. Zakłada szkiełka.

JULIA.

Jurek, co to znaczy »cum faciunt«?

JERZY do Wici.

Znaczy się, że nie każdy — dobrze pozować umie.

JULIA.

Eh, tylko tyle — siadać! Trzy czwarte.
Układając pozę, bierze Jerzego głowę w ręce.

WICIA.

Jula, jak można tak mężczyznę za głowę brać.

JULIA.

Cicho bądź. Zapowiadam ci, że cię wyrzucę. Do Jerzego. Zdjąć mi te szkiełka z nosa.

JERZY.

Ja sądzę, że to jest odpowiedniejsze. Binokle. Twarz nabiera większego charakteru.

CESIA.

Panu Jerzemu tak ładnie w binokłach. Poważnie.

JULIA.

Gdy będę chciała robić »martwą naturę« to pójdę do kuchni, tam mam furę żelaźniaków i szklanek. »Psztyk!« szkiełka w powietrze. Zrozumiano!

WICIA, CESIA.

Jula!!

JÓZIO i JERZY w śmiech.

CESIA.

Uderzyłaś pana w nos.

WICIA do Julii.

Nie darmo ciebie nazywają »szaloną Julką«. Strach!

JULIA.

Nazywają mnie? Niechże im to wyjdzie na zdrowie.

JERZY.

Jako i na pożytek a chwałę potomków cnego rodu filisterskiego, amen.

JULIA *z przekąsem.*

Strach, strach, strach!

WICIA sentencyonalnie.

Panom wybacza się wiele...

JERZY.

...ar-tystom!!

WICIA.

...zwłaszcza takim »czerwonym«, ale...

CESIA.

Pan jest czerwony! Co też ty Wicia mówisz. Wstydliwie. Taki blady, jak lilija.

JERZY.

Panno Wiktoryo, ja wcale nie mam zamiaru zakładania protestu, przeciwko nazwaniu mnie »czerwonym«. Owszem, owszem. Sądzę też, że kobieta, która stała się wolnym człowiekiem, zwłaszcza dzisiaj, zasadniczo, wobec tego, że dzisiejszy prąd emancypacyjny płynie tak szerokim korytem!...

JULIA.

Oho, oho, oho! Jest już i »koryto«. Dobryś. Wiecie Borecha, ja was szanuję, ale wy jesteście nikczemnym literatem.

JERZY.

Hehehe!

WICIA.

Ja nie sądzę, ale zdaje mi się, że kwestyi emancypacyi kobiet nie można z takiem, wyraźnem lekceważeniem... hm...

JULIA.

Co mnie obchodzi całe koryto i to wszystko. I to jeszcze jedzie mi tu z tem w sam środek seansu.

JERZY.

Ależ panno Julio, ja zupełnie nie mówię — mnie przedewszystkiem interesuje psychologiczna strona ruchu.

CESIA *z mądrą minką.*

Psycho-lo-giczna strona. Wiem.

JERZY.

Sądzę, że to powinno zajmować panie. *Uprzejmie.* Nieprawdaż panno Michalino, co pani myśli?

MISIA.

Ja wcale nie myślę!!

JULIA.

Panie Jurek, panie Jurek. *Grozi.*

WICIA.

Albo takie nazywanie »Jurek«. Jakby »Jasiek« albo »Kaśka«. Pan Boreński może się obrazić słusznie — wyjątkowo.

JULIA.

A niechże się obrazi. Cóż mnie to obchodzi.

JERZY *serdecznie.*

Owszem, owszem panno Julio. To jest kapitalne, niech pani nigdy inaczej nie mówi tylko »Jurek«.

JULIA.

Podoba wam się? Proszę!

JERZY.

Tak jest, tak jest.

JULIA.

A kiedy go chciałam pocałować, to się wymówił!!

WICIA.

Jula, Jula, Jula!

JERZY.

Hehe, ja zasadniczo nie mam nic przeciw temu.

JULIA.

E —.

CESIA.

Pan Jerzy może się obrazić słusznie, wyjątkowo.

JULIA.

I ta koza nawet?!

CESIA.

A cóż to ja jestem, co? Każdemu wolno mówić, a mnie nie?! Mnie wszyscy prześladują, ja dla nikogo nie mam żadnego znaczenia, nawet gdy się za kim ujmę, a za mną to nikt się nie ujmie. Cóż to ja jestem, żeby na mnie wszyscy patrzyli jak na dziką kozę, cóż to ja jestem, co?! Płacz wielki. Wybiega tym razem na dłużej.

JULIA do Jerzego.

Widzicie. Wszystko przez was.

WICIA. Westchnienie.

Księżycu, ty zbrodniarzu!

JULIA.

No, autorze dramatyczny, ty milczysz?

JERZY.

Cicho wszędzie, głucho wszędzie,
Głupio było, głupiej będzie.

JULIA.

Niechże kto coś powie. Malując nuci.

Leci pies bez owies
Ogonem wywija —
Pewnie nie mężaty
Scęśliwo bestyja... oj dana!

WSZYSCY.

Oj dana, oj dana, oj dada — do dada!

JERZY.

Ludowa poezya ma w sobie tyle czaru!

POPRZEDNI i BRONIK.

W tej chwili za rękę ciągnąc Bronika wbiega

FREDZIO.

Pam Blonik, pam Blonik!

JULIA.

A! Baca. Servus.

BRONIK.

Szacunecek dziewice, szacunecek.

MISIA, WICIA.

Jak się pan ma?

BRONIK podaje rękę.

Wcale się ni mom. Do Julii. Jak się macie, niewiasta, przy wasztacie? Nie witać, niewiasto, smarować se dalij. Do Wici. Dziewica mękoli organki?

WICIA.

Także komplement!

BRONIK.

Mękolcie dziewica, jaż do skutecności. Do Józia. Jak się masz brzdącu.

JÓZIO.

Dobrze się mam, brzdącu!

BRONIK spojrzał.

Hy, ciętoo! Nie daj se dmuchać w kij!

FREDZIO ciągnie ciupagę.

Panie Blonik, niech pam Blonik da mi siekilke.

CESIA.

Pan miał jechać do Paryża.

BRONIK do dziecka.

Bier mój raku zatracony.

CESIA.

Ze trzy tygodnie już nie widzieliśmy pana.

BRONIK.

Dziewica se wypłakała ślipki.

CESIA.

Cóż znowu! Taka zarozumiałość.

BRONIK.

Wcale grzecny pontret. Lezie z płótna, lezie!

JULIA.

Ii — nie urągalibyście. Kicz je i basta.

BRONIK.

Kic je, bo je; ale co ze szmaciny lezie, to swoją pyrcióm. Hy bedom z was ludzie, niewiasto. Klepie Julię po ramieniu.

JULIA.

He — niechby ino nie byli.

JERZY.

Mój Bronik, mógłbyś mniej namiętnie manifestować swoje sentymenty.

JULIA do Jerzego.

A temu literatowi co do tego? Hej, Bacuś, nowinki! Tu się darmo nie przychodzi.

BRONIK.

Sie wi. Som nowinki.

JERZY.

Słuchaj Bronik, mam do ciebie prośbę.

BRONIK.

No?

JERZY.

Przestań już raz kiepsko imitować hucuła, bo to zaczyna być nudne.

BRONIK.

Rzekbyk ci gryzipiórku,ześ dureń, ji nie wisz co pikne — ale szkoda fatygi. Do Julii. Uważacie niewiasto, dzisia w naszy budzie stary Grzela na gipsach roz-tego-sie, hy, ji gwarzy, jak to ón był w ty waszy... tfy... babski akademije, ji rzeknął se latające słowo o waszym Jadamie, jako ji o Jewie.

JULIA.

Nie może być, stary Grzela, naprawdę? Cóż mówił, mój Bronik, cóż mówił Grzelewicz?

BRONIK.

Hy, nie zapalajcie się, bo wam nie rzekę. Gwarzył, jako wyście som smocza niewiasta.

JULIA z radością.

Nie blagujcie?! Mówcie Bronik, mój Baca!

BRONIK.

Hy. Ano dziwowoł sie srodze, jako ta dziewica, prawi, ma całkiem chłopski temperament, tak se machnąć węglem na ścianie srogi kicz, a najlepsi udała sie mu sie ta peszpektywa. »Trzema linijkami« rzeknie do mnie, panowie »trzema linijkami ucyniła ci takom peszpektywe, żem sie w głowę podrapoł«.

CESIA.

To pan Grzelewicz tak się podrapał? I, jak to pan mówi.

BRONIK do Cesi.

Nie wpychaj sie, dziewica, skoro nie do ciebie prawią. Do Julii. Ja mu pedam: »Panie profesorze, to je osobliwy kawał, że ta Chomińska lepsi machnęła Adama, aniżeli Jęwę«. On zasie gwarzy: »Ewa je lekko marna«.

JULIA.

»Marna« mówił »marna?« Dlaczego?

BRONIK.

Skrócenie lewego pedału. Ale Jadam, gwarzy, to »je frajda, moi chłopcy, żaden z was, tak nie machnie od rapy«. I sam Grzela uznał ci, że to je paradnie ciekawy kawał, jako akt Adamowy je lepsiejsy, ale, rzeknął: »Ta dziewczyna musi mieć osobliwą intuicyę erotyczną«.

CESIA.

Intuicyę erotyczną. Wiem.

JULIA.

Co to znaczy, mój Bronik, co to znaczy: »erotyczna intuicya«?

BRONIK.

Hy, ja tam nie miarkujem. Ale, hy, to się znaczy, jako wyjście są od paleca po cubek bycz... hy, smocza niewiasta i tyla.

JULIA.

A nic nie mówił, że to na ścianie, w szkole? Ale ja się założyłam.

JERZY do Julii.

No, to jest kapitalne, gratula!

BRONIK.

Hy, toście się aże zakładała, niewiasto? Nie było o co. Grzela peda: »Właśnie se tak machnąć wąglikiem«. A potem go odprowadziłem, bylim se na miodku.

JULIA klaszcze.

Ale wygrałam, hahaha! Stacha mówi: »nie odważysz się, nie odważysz«, a ja tak sobie machnęłam Adasia i Ewulkę pod drzewem, jak to sobie uczynili drzemkę poobiednią i wygrałam, hahaha! Bronik! Bronik!! Bronik! Porywa Bronika, całuje w twarz. Masz bratku za nowinki!

MISIA, WICIA, CESIA.

Julla!

BRONIK ociera się.

Tfy. Nie chwaliłabyś się niewiasto, z naszy miłości tak przed tom hołotą. Ten literat mnie zaciupie na śmierzć.

JERZY.

Hehehe!

JULIA.

A co mu do tego, że my-sie kochamy-sie. Do Jerzego. Bronica we mnie zadurzony, gwałtu! Cieszy się jak dziecko. Stary Grzela... haha Grzeluś, Grzelewicz.

BRONIK.

Hy, ni miołbyk też w czem, mój Jezusicku.

JULIA.

Ej Bronik, Bronik ty musi mnie zdradzasz. Do Jerzego. Baca ma podobno harem.

JERZY.

Baca? Hehehe!

BRONIK.

Hy, a wam co do moich bab, niewiasto, widzicie ją! Niedoś, żem się dał w gębusie po-tego, jeszcze sie do moji familii wpycho. A niedoczekanie twoje.

CESIA.

Pan to tak mówi, panie Bronik, że ja słucham, słucham, a nic nie rozumiem.

BRONIK.

Nie szkodzi, dziewico; słuchajcie het, i tak niczego nie wykalkujecie.

JULIA.

Hej Baca... I perspektywa udała się Grzeli, możliwa? Co? Ha?

BRONIK.

Mój Jezusicku, ci baba cikawo! Skorom rzek, to sie stało.

CESIA.

Co się stało, proszę pana?

BRONIK do Cesi.

Nie zawracaj panna narodowi gitary.

CESIA.

Panie Bronik, co to takie »zawracać narodowi gitarę«, albo coś?

BRONIK.

A idźże dziewico! Cóżem ci winien, że mnie napastujesz.

CESIA.

Napastujesz! Cóż znowu! Odsuwa się.

BRONIK nachyla się do Jerzego.

Panie, nie masz ta pan fajgla na zbyciu, hy?

JERZY cicho.

He, dyabła tam!

BRONIK.

Z szałasu nie przysłali ań dydka. Ręka na żywocie. A tu w łonie taki koncert, że mnie gospodarz chce wytrynić, prawi jako spać nie może, taki wrzask.

JERZY.

To jest jeden z głupszych melomanów, ten twój gospodarz. Czekaj, po seansie złożymy naradę wojenną, kogoby tu podskubać. Wstaje.

JULIA do Jerzego.

Siadać.

JERZY prostuje się.

Panno Julio, zmiłowania nad moim pacierzem. Staje przed stalugami. MISIA, WICIA i CESIA również zbliżają się do portretu. JÓZIO także. Ależ to olimpijski portret z tego się robi!

JULIA zadowolona.

Ha!

MISIA.

Gdzież pan Boreński ma taki nos!

JULIA.

Micha, ej patrz ty lepiej kanwy!

BRONIK.

A chyćże, niewiasto, drąga na to wszelakie filisterstwo.

MISIA.

Przepraszam, ale... Odchodzi.

BRONIK.

Nic tu »ale«, żadne »ale«, tylko dziewica nie masz co gwarzyć. Do Julii, klepiąc ją po ramieniu. Byłby z was hucuł. Hy, co tu gwarzyć. Pońdziesz niewiasta skarpetki cerować i foteliki wygniatać swojom personą.

JULIA uderza po twarzy, maluje na czarno oblicze Bronika.

A — nie urągaj, nie urągaj, nie urągaj! — dobrze ci teraz?!

Śmiech.

MISIA i WICIA.

Julla!! Załamują ręce.

JULIA do Misi.

Zazdrość ci, to i ty dostaniesz.

BRONIK ociera twarz.

Tf — tfy. Jeszcze nijakiego Zoila tak nie odbarowali, jako mnie, tfy, tfy.

CESIA.

Ale ma pan teraz Zoila na twarzy! No!

POPRZEDNI i EMILIA.

BRONIK ironicznie.

Pannie Emileji ucałowanie stopek, całujem rączki pannie dobrodziejce.

Do Jerzego grymas komiczny.

EMILIA wchodząc.

Dobrydzień. Rzuciła Bronikowi spojrzenie pełne oburzenia i lekceważenia. Chodzi. Jest widocznie zdenerwowana.

MISIA do Emilii.

Gdzie mama?

EMILIA odburknęła.

Zaraz przyjdzie. O, panna Julia ustawicznie w natchnieniu!

JULIA.

Aha.

EMILIA.

Cudowny portret. A-a, pogratulować.

JERZY wstaje; patrzy pytająco.

BRONIK

kilkakrotnie podnosi się, opada nazad. Rozgląda się trwożliwie. Nikt nie zwraca uwagi na niego, wszyscy obserwują Emilię.

JULIA

spojrzawszy na Emilię, zmarszczyła brwi; maluje.

EMILIA chodząc.

Sława, sława, sława. Rozchodzi się po całem mieście. Gratuluję.

JULIA podchodzi do Jerzego.

Jeszcze sekundę.

JERZY do Bronika.

Co ci jest?

BRONIK.

Nic.

JULIA.

Bronik, co wam jest?

BRONIK.

Nic — kurcz.

EMILIA stanęła, spojrzała — uśmiech piołunkowy.

JERZY do Julii.

Prędko. Może co ciepłego się znajdzie, kieliszek koniaku!

JULIA.

Zaraz. Wybiega.

MISIA i WICIA.

Co panu jest?

BRONIK prostuje się, chce wstać.

Ni-nic. Ja mam, ale to nic. Kurcze. Opiera się o Jerzego. Lepiej. Przepraszam. Ale ja zawsze przed i to nieregularnie — czasem po pierwszym. To jest chroniczne. Przepraszam.

JULIA wbiega. W ręce kamienny garnuszek.

Kawy jeszcze niema. Tu jest śmietanka; ciepła.

BRONIK pije, Julia podtrzymuje.

Dziękuję, przepraszam — hehe — proszę. Pije.

CESIA nagle.

Aha. Pan mówił, że pan jedzie do Paryża.

WICIA do Cesi.

Będziesz ty cicho; w porę pytanie. Odciąga ją na bok.

CESIA do Wici.

No, a dlaczego? Wszystkim wolno a mnie... Wicia zatyka jej usta.

BRONIK.

Ja — jadę do Paryża — przepraszam, ja do Paryża.

EMILIA cicho do Michaliny.

Ale po podwieczorku. Cyrkowiec.

BRONIK usłyszał; garnuszkiem o ziemię.

Pssiakrrr!! Czy ja żebrak jestem; cóż wy sobie myślicie!

Plunął w stronę Emilii, porwał kapelusz — wybiegł.

JULIA i JERZY.

Bronik!!

JERZY wybiega.

EMILIA.

Ależ ten Bronik ordynarny — ach!

JULIA rozkłada ramiona.

Moja Milutka! Gdybym ci tak teraz oczy mogła wydrapać, mój motsny Boże!

EMILIA.

A! Znowu »ostry szał«, ukochana Juleczko. Poczekaj, czekaj. Nie długo ty będziesz oczy drapała. Przed portretem. O, to jest to arcydzieło tej ossobliwej artystki.

JULIA.

Milka!!

EMILIA.

Ten portret, złote medale za takie arcydzieła! Podobne, hehehe!

JULIA odpycha Emilię od portretu.

Milutka, Milutka, radzę, nie drażnij mnie ty.

EMILIA.

Żadnych przekręcań mojego imienia! To mi artystka! Mówi, jak ostatnia przekupka. Sprowadza do domu hołotę — takiego Bronika. To mi towarzystwo!

JULIA.

Do Bronika tobie nic. Nie wartaś nosić za nim jego kija.

EMILIA.

Ale czekaj, czekaj, skończy się to. Całe miasto o niczem innem nie gada.

WICIA do Misi.

Nie mówiłam ci, nie mówiłam, co?

MISIA.

I ten portret. Phi, bohomaz nie portret.

JULIA spokojnie.

Jesteście głupie. Jeżeli myślicie, że ja z wami kłóciła się będę, to się bardzo mylicie.

EMILIA.

Nie godne jesteśmy, nie godne rozmawiać z »thą osobliwością naszego grodu«. Do sióstr. Poznaję jakąś Firecką u Podlipskich, przedstawiam się, a ta wybucha śmiechem. — »Czy nie malarka?« Nie! »Bo tu jest jakaś Chomińska, oryginał, podobno nazywają ją »szaloną Julką«. Słyszałam, że Baedecker ma ją umieścić w spisie osobliwości naszego miasta«.

Chomińska. Nasza siostra, nasza siostrzyczka! Sławna artystka, osobliwość naszego grodu. Nawet nie odważyłam się przyznać, że mam zaszczyt być siostrą. I potem pies bury nie odważy się wejść do domu — możemy się także bezpiecznie kształcić na artystki sztuki krawieckiej, możemy zawiędnąć tutaj, możemy, bo — bo — bo —. Płacze ze złości.

MISIA do Wici.

Nie mówiłam, nie mówiłam? Do Julii. Przez ciebie my staremi pannami na koszu!

WICIA do Misi.

Ani nie mów! Jeszcze w złą godzinę.

MISIA.

I teraz ten jakiś Baedecker chce o niej pisać; ładne rzeczy, niema co mówić.

EMILIA zrywa się.

Ja — ja — ja przez ciebie, gotowam jeszcze starą panną zostać — ja!

JULIA błysk szyderczy.

Już jesteś!

EMILIA.

Julka!

JULIA.

A co wyście mnie tak obskoczyły, jak psy dziada w ciasnej ulicy! Wyrywa Fredziowi ciupagę. Myślicie, że ja sobie rady z wami nie dam!

EMILIA.

Hejże, może bić się zaczniesz! Ty do tego byłabyś zdolna.

JULIA zamierza się.

Mila, ja nie żartuję! Rzuca siekierkę na ziemię. Józio podnosi ją.

CESIA.

A czego wy od niej chcecie? Cóż to ona jest? Wszystkim wolno malować, a jej nie? Jula, nic się nie bój.

JULIA.

Hahaha. Całuje Cesię. Ty koziu moja. Do sióstr. A wy strzępcie powietrze, aż do skuteczności. Tyle sobie z tego robię, co z gwizdania wiatru w kominie. Zrozumiały kawki?

WICIA i MISIA.

»Kawki«?! A ty co?

EMILIA.

Zrozumiały, moja orlico, rozumieją. Ale poczekaj. Wychodzi.

MISIA.

Ale zrozumiesz i ty.

JULIA stając w progu.

Milka, naznosiłaś znowu plotek.

GŁOS EMILII.

Ha-ha-ha!

JERZY wchodzi.

JULIA chwytając go za ręce.

Cóż, Bronik, lepiej?

JERZY chmurny.

Lepiej. Odprowadziłem. To było chwilowe, chociaż chroniczne.

CESIA.

A może on się tak Milci zląkł, albo coś?

POPRZEDNI i P. CHOMIŃSKA.

JULIA na boku.

Jura, znowu jakieś plotki. Na mnie.

JERZY.

A niechże pani pluje na to całe gdakanie! Przeklęte filistry.

P. CHOMIŃSKA.

Jula jest? Zdejmuje kapelusz, zrzuca futro. Wyjdźcie stąd wszystkie. Jula zostanie. A-a. Pan Jerzy.

JERZY.

Całuję rączki pani radczyni. Dzień dobry. Całuje.

P. CHOMIŃSKA.

Dobry wieczór raczej.

JERZY zakłopotany.

Hehe, przepraszam.

JULIA badawczo patrząc w matkę, zbliża się ku niej.

P. CHOMINSKA słodko.

Ej, pan znowu narobił ambarasu. Wygodniś, haha, śpioszek.

JERZY.

Najmocniej przepraszam.

P. CHOMIŃSKA.

Czemuż pan nie przyszedł do stołu? Mnie, naturalnie, nie robi to różnicy, ale zawsze subjekcya.

JERZY.

To w takim razie obiady raczy pani radczyni dla mnie osobno, w moim pokoju. Przepraszam, ale ja nie żyję według małej wskazówki ściennego zegara.

P. CHOMIŃSKA fałszywy uśmiech.

No, nie tak zapalczywie. Tylko nam jest przyjemniej, gdy pan razem. A oczywiście, praca — ja się nie dziwię. A i tutaj praca artystyczna nie ustawała, jeszcze pozowanie; pięknie.

JULIA.

Czy mama była także u Podlipskich? Z Milą?

JERZY do p. Chomińskiej.

Co? prawda? Kapitalnie idzie.

P. CHOMINSKA.

Ja nie mogę dość nadziwić się pańskim komplementom. Co pan w tym bohomazie widzi?

JULIA.

Ach, mamo, jak można o tem mówić, o czem się nie ma pojęcia.

P. CHOMIŃSKA.

To jest córka. Proszę. Słyszał pan. O.

JULIA.

Niech mama nie gniewa się — przepraszam. Chce ująć dłoń matki, a ona jej umyka.

JERZY zakłopotany.

Hehe. Panna Julia energicznie broni się. Ale jest racya. Cóż my? Profany. Ale naprzykład profesor Grzelewicz...

P. CHOMIŃSKA chodząc.

Tak, tak, tak; racya, racya, najzupełniejsza racya. Wszyscy mają racyę: pan, ona, pan Bronik, Fredzio, Cesia, teraz jakiś pan Grzelewicz, całe miasto, cały świat, wszyscy mają racyę, tylko ja nie mam racyi.

CESIA.

Słyszy pan, panie Jerzy? Co mama mówi. Wszyscy mają racyę, i ja także... No, a cóż? Nie mówiłam, nie mówiłam.

P. CHOMIŃSKA.

Ale niech mi pan w końcu powie, co my z tego wielkiego malarstwa będziemy mieli? Świat się nie obejdzie bez jej arcydzieł malowanych węglem na... na... malowanych chyba węglem w kominie! A zresztą czy to jej szczęście dać może? Czy to dla panienki jest?

JULIA.

Ha, ha, ha!

JERZY zaczyna podskakiwać.

He, przepraszam, zasadniczo, w ogóle nie ma sensu, ale sądzę, że pojęcia, tak zwanego szczęścia, to kapitalnie względna rzecz, jeżeli w ogóle jest coś ponad ten pusty termin filisterski i latający abstrakt!

P. CHOMIŃSKA.

Nie, kochany panie Jerzy. Jedno jest szczęście. Chrystus w sercu, spokój w duszy — oto jest. Ale zresztą tu nie o to teraz chodzi.

JERZY.

Przepraszam, przepraszam. Ja bezwzględnie muszę zaznaczyć moje stanowisko, że się nie godzę. He! Szczęście tak, jak ja je pojmuję, to Chrystus w czynach, to ten cudowny niepokój duszy trawionej żądzą potężnego działania — wspaniałego tworzenia!

JULIA z błyszczącemi oczyma.

Jurek! Hura! Tak jest! Hahaha. Zatyka sobie usta.

CESIA.

Ach, szczęście, panie Jerzy, to miłość. Żyć — to kochać.

P. CHOMIŃSKA do Cesi.

Nie mieszaj się do rozmowy. Do córek. Mówiłam — wyjść stąd. Odchodzą. Oj panie drogi. »Zasadniczo, zasadniczo«. Marzenia, marzenia!

JERZY.

Marzenia?! Nicht jeder kann im Café sitzen, Cigaretten rauchen, Princessas, Fleurs, Egiptiennes — vor sich hinträumen«, hehe!

P. CHOMIŃSKA.

Co pan przez to rozumie?

JERZY kryjąc uśmiech.

To się znaczy, że nie każdy.. dobrze pozować potrafi.

P. CHOMIŃSKA.

Ach, tak.

CESIA

wyszła; gdy matka odwróciła się, Cesia cichaczem wraca, sunie się wzdłuż ściany ku Jerzemu.

JERZY.

Zapomina pani, przepraszam za śmiałość, że różni są ludzie. Jednym wystarczy dobry byt materyalny vulgo żłobek, a są także takie stworzenia, jak naprzykład »ja«, co zaraz z kantu plują w tramwaj i koniec.

P. CHOMIŃSKA.

Pan dzieli ludzkość tylko na takich filistrów i na artystów.

JERZY.

Owszem, ale tak. A filistrów, to ja... mordować, ogniem przypiekać, kołem łamać, wbijać na pal, bić, rąbać, kąsać, gryźć, pluć!

CESIA.

Panie Jerzy — joj!

P. CHOMIŃSKA do Cesi.

Cesia — pójdziesz ty raz stąd?!

CESIA nachmurzona odchodzi.

JERZY.

Tak, panno Julio — eviva l'arte! Wszystko inne niech tam dyabli... przepraszam... Ukłon ku p. Chomińskiej.

P. CHOMIŃSKA.

Oj młodość, młodość! Ach! Machnęła ręką, odchodzi.

JERZY idąc za nią.

Haha! Młodość?
»Lecz cóż my winni, że z błota i kału
Wciąż z feniksowym uporem powstajem,
Cóżeśmy winni, że jesteśmy młodzi?!!«

JULIA stoi nieruchoma.

JULIA i JERZY później CESIA i P. CHOMIŃSKA.

JERZY.

Przyszła znowu zła chwila?

JULIA z goryczą.

Przyszła... znowu...! Pytajcie raczej, kiedy idą chwile dobre! Chwila, haha!

Och, przeklęte życie. Zawsze to samo, wiecznie takie same! A ta matka, ta matka!

JERZY łagodnie.

Panno Julio! Kiedy bo czasem to tak szorstko do niej odezwiecie się; trzeba przecież uwzględnić to, że w każdym razie, jest przecież waszą matką, tego oczywiście zaprzeczyć nie można.

JULIA.

Ach, dajcie pokój. Ostatecznie i cierpliwości braknie.

JERZY.

He, co tam; nie sumujcie dziewico; ufajcie, że i wam lepsze jutro zadnieje. No, nie becaj, nie bec, wygoi-sie do weszela, wygoi.

JULIA.

Mnie już nic nie uratuje, ja już jestem skazana na zagładę, na zatracenie! A tu w piersi rodzi się jakiś szalony bunt przeciw temu wszystkiemu, jakaś płomienista żądza życia pali się we mnie, a oni ją duszą szmatami swoich teoryi, swoich praw, swoich wymagań — a!

Ja boję się mojej natury. Tam ogień jest, żar!

Wiecie: raz matka powiedziała mi w złości: »Idź z domu, dorosła jesteś — możesz na siebie pracować«. Rzeczy już były złożone; gdyby nie ojciec, co stałoby się ze mną? Dokąd iść? Chyba szansonistką zostać.

JERZY.

Panno Julio!

JULIA.

Nie przerażajcie się — głupstwo; to nie. Od tego uratowałoby mnie coś. Byłoby jeszcze inne wyjście.

JERZY.

O tak, tak. Praca jest; wywalczenie sobie bytu niezależnego. Tak.

JULIA.

Aha! Marzycielu, poeto!

JERZY.

To nie frazes! Trzeba tylko pragnąć silnie, namiętnie i odważnie wyciągnąć rękę po upragnioną rzecz — a wtedy udać się musi!

JULIA.

Tu... tu szarpie się we mnie wszystko, a wy jeszcze swą wiarą, swoją ufnością wbijacie gwóźdź po gwoździu w mój mózg.

Zdaje mi się nieraz, że jestem do jakiegoś drzewa wielkiego przywiązana powrozami, biją we mnie strzały, jedna po drugiej, strzała za strzałą... a tam, w dali ognisko, tam światłość ogromna, tam duchy moje bratnie ucztują... W rękach kielichy, na głowach wieńce weselne... śpiew... białe suknie...

Wyprężam się, prężę... więzy wpijają się w ręce, piersi, biodra — ścierają skórę, przecierają, krwawią... o, o, to jest piekielna męka!

JERZY.

Dyabła tam! To jest wspaniały symbol! Jula, ależ to jest przegenialny obraz, malarska rzecz — !

JULIA.

Obraz? Jura! obraz?

JERZY.

Ależ naturalnie! Arcydzieło — fenomen.

JULIA.

Nie, wy kpicie ze mnie?

JERZY.

A niechże mnie dyabli wezmą, jeżeli kpię. Ja gdybym malarzem był...

JULIA.

To co Jura, to co? Wyciąga ku niemu ręce błagalnie.

JERZY.

Ależ taką rzecz namalować, to znaczy — cała Europa plackiem u nóg.

JULIA.

O, mój Boże, mój mocny Boże! Mnie się w oczach ćmi. Jura, Jerzy! to naprawdę mogłoby co z tego być? Gdybym ja taką rzecz potrafiła namalować, o mój mocny Boże! Jura, jak myślicie, co? Naprawdę? Co?

Zrąb lasu, kraj lasu... w głębi polana, na tej polance, tak... tam — z wieńcami na głowie i w białych sukniach... koło ogniska... około ognia co płonie na czworogrannym, białym kamieniu...

JERZY.

dziewczyna... postać główna... biała dziewczyna...

JULIA.

Tak, tak.

JERZY.

Tę sekundę, ten moment, kiedy dziewczyna pręży się, wypręża, akt cały piersi; aby z figury, z ruchu, z całej twarzy biło to jedno wołanie: żyć, ja chcę żyć, nie zabijajcie mnie!

Taki obraz powinien wrzeszczeć, aby naród uszy zatykał ze zgrozy. Haha!

JULIA.

A z lewej strony... jest świt, kończy się noc; jutrzenka ranna wschodzi na niebie i rzuca na głowę białej dziewczyny lekkie przedblaski wschodzącego dnia — taka przenajcudowniejsza...

CESIA wchodząc z buchtą w ręce:

...kawa już zaraz będzie.

JULIA.

Czego ty tutaj chcesz?

CESIA.

Cóż znowu? Tak ci tylko mówię, że kawa już będzie i buchta jest świeża. Do Jerzego. A może pan Jerzy chce buchty, jeszcze ciepła, co?

JERZY ukłon.

Najuprzejmiej pani dziękuję, panno Cecylio, ale nie.

CESIA.

Niech się pan nie boi, panie Jerzy. To na żołądek nie szkodzi. No?

JERZY.

Jeżeli pani taka łaskawa — i owszem panno Cecylio. Delikatnie bierze kawałek — je. To na żołądek nie szkodzi.

JULIA bierze obie dłonie Jerzego.

Dziękuję wam, Jura, rozumiemy się; dziękuję. O tem będziemy mówili dużo.... dużo... Dzisiaj wolno mi tylko marzyć o takiem wielkiem płótnie, ale poczekajcie, za rok... dwa...

JERZY.

He! Za rok, za dwa! Wystawicie waszą »Białą męczennicę« — zgadzacie się? Podpis: »Biała męczennica«. Poprostu będzie epoka; rewolucya w sztuce!

JULIA.

Czy w sztuce będzie epoką, tego nie wiem — ale że w mojem życiu stworzy to nową epokę, to pewne. Ale, ale, słuchajcie-no Jurek. Urywa, z jakimś strachem, cicho: Matka idzie! Nie odchodźcie. Odsuwają się od siebie.

P. CHOMIŃSKA.

A proszę pana kochanego, pan obiecał mi...

JERZY.

A tak, już prawie skończony. Poruszył się, jakby chciał pójść.

JULIA ściska rękę Jerzego — znak by został.

Proszę mamy. Chce pocałować rękę matki, ona ją cofa, staje przed lustrem, poprawia włosy. Już muszę na wieczorne rysunki. Dzisiaj, dzisiaj 8-my; wszystkie zapłaciły, ja chciałabym, bo mi wstyd, że wszystkie zapłaciły już...

P. CHOMIŃSKA.

Ten wzorek, prawda kochany panie, już gotów.

JERZY.

Tylko wykończyć. Może być zaraz... Ruch ku wyjściu.

JULIA blada.

Zostańcie.

P. CHOMIŃSKA.

To proszę, jeśli pan łaskaw.

JERZY do Julii.

Wyrzuca mnie; najwyraźniej w świecie. Do p. Chomińskiej. Służę pani. Do Julii. Nie dajcie się. Odszedł.

P. CHOMIŃSKA, JULIA i CESIA.

P. CHOMIŃSKA odwraca się, idzie, zamyka za Jerzym drzwi.

Ty bezwstydna dziewczyno — ty bezwstydna dziewczyno!

JULIA patrzy w ziemię.

Znowu jakieś plotki. Na mnie.

P. CHOMIŃSKA.

Milcz!

CESIA przycupnęła ze strachu.

JULIA determinacya.

To nieprawda jest. To nie ja rysowałam.

P. CHOMINSKA.

A to już szczyt bezczelności! To ja rysowałam — prawda? To ja podpisałam się: »J. Ch.«

JULIA cofa się przerażona.

P. CHOMIŃSKA.

I kłamie jak najęta.

JULIA.

Kłamię, bo muszę: bo mnie wszyscy do tego zmuszają!

P. CHOMIŃSKA.

Ja nie wierzyłam, ja uwierzyć nie chciałam. Wszystko inne, ale nie do tego stopnia! Byłam w szkole, kazałam sobie pokazać to sławne arcydzieło! Przyskakuje. Ty, słuchaj! Ja ośmioro dzieci miałam, rozumiesz, a gdy to zobaczyłam, krew mi do głowy uderzyła.

Poco ty podpisałaś się? Poco to: »J. Ch.«, poco ten podpis?! Odpowiadaj! Mów! Trzęsie córką, szarpie. Poco ten podpis? poco ten podpis, poco ten podpis!? Odsuwa się od niej. O Boże, Boże za co ty mnie tak ciężko karzesz! Ostatni raz dzisiaj byłaś w szkole. Noga twoja tam nie postanie, albo się wynoś z domu, słyszysz!

JULIA.

Ma... mamo, ale to... przecie — nie może być!! Tego mama nie mówi naprawdę. Mamo! Wyciąga ręce.

P. CHOMIŃSKA.

Nie dotykaj mnie! Ty niegodziwa córko.

JULIA.

Mamo... przecież...

P. CHOMINSKA.

Milcz; mówię.

JULIA.

Ja nie mogę milczeć, ja muszę się bronić!! Mama nie może mnie zabijać — przecież ja mam jakieś prawa do życia!

P. CHOMIŃSKA.

Do życia, ale nie do łajdactw!

JULIA.

To nie jest łajdactwo! To widział stary Grzela... profesor Grzelewicz i nic nie mówił, a nawet powiedział...

P. CHOMIŃSKA.

No cóż powiedział ten twój wielki pan profesor Grzelewicz?

JULIA.

Powiedział, że ja mam talent, że mam »erotyczną intuicyę«.

P. CHOMIŃSKA.

Co powiedział?

JULIA.

Powiedział, że jestem smocza niewiasta, to chyba dosyć!

P. CHOMIŃSKA.

Och! przypuszczam. Dobre widać wyobrażenie ma o tobie ten twój profesor Grzelewicz.

JULIA.

Ja mówię dosłownie jak było. A to znaczy, że ja mam talent.

P. CHOMIŃSKA.

Masz talent?! A jedźże sobie! Jedź do Paryża — do Australii — na wystawę paryską! Jedź! Może tam jest zwyczaj, że panny takie arcydzieła malują, ale tu, wiedz o tem, że ty masz rodzinę, że ty masz cztery siostry, że całym majątkiem waszym jest wasza dobra sława.

JULIA.

Ale mamo, moja mamo, przecież, co ja robię, to spada na mnie, a nie na siostry.

P. CHOMIŃSKA.

Głupia jesteś, a zarozumiała.

JULIA bardzo prosi.

Niech mama pozwoli przeprosić się. No, mój Boże... mamo, takie głupstwo. To był tylko żart. Przecież... o — o — niech mnie mama nie zabija! Łka.

P. CHOMIŃSKA łagodniej.

Kto mówi o jakiemś zabijaniu? Co to za sposób mówienia? Ja przecież chcę tylko dobra twojego dla ciebie samej... przecież ja matką twoją jestem. Pauza. A teraz powiedz mi, dla czego Aleksander od trzech miesięcy ani słowa nie pisał?

JULIA.

Ja nie wiem.

P. CHOMIŃSKA.

A ja się domyślam. Napisał mu ktoś, jak ty tu zachowujesz się.

JULIA.

Nawet za to, że pan Aleksander nie raczył pisać — ja odpowiadam.
Ruch ku wyjściu.

P. CHOMIŃSKA.

Zostań. A więc, proszę bardzo wytłomaczyć mi, dla czego nie pisze? Proszę.

JULIA.

Nie wiem. Ostatni list ja pisałam.

P. CHOMIŃSKA.

Jak ten list wyglądał, to już można sobie wyobrazić.

JULIA spokojnie.

Mamo. Czy ja mam się starać o niego, czy on o mnie?

P. CHOMIŃSKA.

Ty, ty, ty masz się starać o niego.

JULIA.

Cha cha cha!

P. CHOMIŃSKA.

Przez ciebie wszystko. Ty jesteś powodem, że on przerwał korespondencyę, bo on jest zanadto poczciwy — i ty o tem nie zapominaj, że ty zdmuchnęłaś konkurenta Milce.

JULIA.

Nie mam zwyczaju »zdmuchiwania« konkurentów nikomu, a tembardziej siostrze.

P. CHOMIŃSKA.

Ty to zrobiłaś. Jeżeli miałaś odwagę zapomnieć o starszej siostrze, kokietować Aleksandra...

JULIA.

Ja kokietowałam Aleksandra?! Ja kpiłam z niego w żywe oczy, a on to brał za dobrą monetę.

P. CHOMIŃSKA.

I mimo to zaręczyłaś się.

JULIA.

To też to moje nieszczęście, że pozwoliłam się namówić do tego. Głupia byłam. Jak ja przez te dwa lata zmieniłam się. O czem ja wówczas myślałam! A przecież opierałam się.

A teraz we mnie wszystko się odmieniło... pozwól mi mamo... bo teraz nie pozwolić mi chodzić do szkoły, to jest zabić mnie, zabić wszystkie moje sny złote... zabić moje marzenia... zabić moją młodość... zabić moją duszę!! Mamo... daj się przeprosić... bo teraz... bo te.. raz... oh!

Ja się zmienię mamo, ja będę inna, ja się poprawię, będę cicha, ja będę posłuszna... tylko... mamo... tylko... tylko... o mój mocny Boże!

P. CHOMIŃSKA.

Nie Jula, to nie może się stać. Ja może i ustąpiłabym, ale mnie tego zrobić nie wolno. Przyjdzie czas, że mi będziesz wdzięczna za to. Do szkoły bezwzględnie nie pójdziesz.

JULIA drgnęła.

P. CHOMIŃSKA.

Szkoda czasu i pieniędzy. Bronikowi od dnia dzisiejszego wypowiadam dom.

JULIA uśmiecha się gorzko.

P. CHOMIŃSKA.

A te godziny teraz pójdą na zajęcie się domem, kuchnią.

JULIA.

Więc tak? Dobrze. Pójdę z domu, pójdę z domu! Niech się dzieje co chce. Choćbym miała trupem paść — nie poniżę się.

P. CHOMIŃSKA.

Zejdź mi z oczu! Precz!

JULIA odchodzi.

P. CHOMIŃSKA.

Jula! Proszę zawołać pana Jerzego, chcę z nim pomówić. O!

Głowa na dłoni, oczy w jeden punkt.

P. CHOMIŃSKA i CESIA.

CESIA

idzie lękliwie; oczy spuszczone, fartuszek w ręce. Matka nie widzi jej. Zobaczyła.

P. CHOMIŃSKA.

A ty tutaj skąd?

CESIA.

Nic; ja tutaj byłam.

P. CHOMIŃSKA.

A moja Cesiu! To nieładnie.

CESIA.

Kiedy ja się bałam, proszę mamy.

P. CHOMIŃSKA.

Idźże sobie teraz.

CESIA.

Proszę mamy...

P. CHOMIŃSKA.

Co?

CESIA.

Niech mama Julci daruje. Ona już nigdy nie będzie. To nie ona malowała, to te przeklęte filistry.

P. CHOMIŃSKA przytula ją do siebie; mówi przez łzy.

Idźże dzieciaku, idź. Odsuwa Cesię.

CESIA z płaczem.

A jak ona trupem padnie, to co?

P. CHOMIŃSKA.

Ty kozo moja, pociecho moja.

CESIA.

Niech już ja będę koza, dobrze mamusiu?

P. CHOMIŃSKA.

O! Z ciebie także będzie taka emancypantka, co się to Boga nie boi?

CESIA.

U-m. Emancypantka, cóż znowu.

P. CHOMIŃSKA odsuwa Cesię.

Idźże raz sobie — no.

CESIA.

Dobrze? mamusiu.

P. CHOMIŃSKA.

Dobrze, dobrze.

CESIA.

Aha. Mama tylko tak mówi: »dobrze, dobrze«. Wychodzi.

P. CHOMIŃSKA, JERZY i CESIA.

CESIA w drzwiach.

Proszę pana, panie Jerzy.

JERZY.

Proszę panią, panno Cecylio.

CESIA.

Ale proszę pana, panie Jerzy.

JERZY.

Najuprzejmiej pani dziękuję, panno Cecylio. Cesia wyszła. Do p. Chomińskiej. Wzorek jest, służę pani. Podaje papier.

P. CHOMIŃSKA.

Dziękuję bardzo. Proszę, niech pan siądzie.

JERZY kłania się, jest zażenowany.

Całuję rączki pani radczyni. Przepraszam. Zasadniczo... wogóle... niema sensu, ale jestem zmuszony interweniować w tej kwestyi.

P. CHOMIŃSKA.

Proszę bardzo. To ułatwi... Czy Jula panu co wspominała?

JERZY.

Owszem, ale nie. Ja z własnej inicyatywy. Jestem zmuszony interweniować. Wybuch. Bo ja na to nie mogę patrzeć, jak pani pannę Julię maltretuje!!

Pauza.

P. CHOMIŃSKA.

Widzi kochany pan, to jest tak: pan jest młody, a Julia jest zaręczona.

JERZY aż podskoczył.

P. CHOMIŃSKA.

Ja pojmuję, że pan kochany tylko wskutek zapalczywości swojej — na Julę, jakby to powiedzieć, żeby pana nie urazić...

JERZY.

To będzie trudno! A — teraz, to już bardzo, bardzo panią proszę! Wogóle zrozumiałem. Wobec tego nie pozostaje mi nic innego, jak tylko z najwyższem oburzeniem...

P. CHOMIŃSKA zirytowana.

Panie Jerzy, panie Jerzy!

JERZY.

To jest podejrzenie, którego nie mogę...

P. CHOMIŃSKA wstała.

Ależ kochany panie Jerzy!

JERZY.

Ja mam o czemś ważniejszem myśleć, aniżeli o idyotycznych stosunkach natury erotycznej! A to podejrzenie, które pani rzuciła, zmusza mię do natychmiastowej wyprowadzki.

P. CHOMIŃSKA.

Ach Boże!

JERZY.

Tak, tak, wogóle zasadniczo niema sensu. Garderoba moja nie sprawia mi nadzwyczajnej subjekcyi, mogę się wyprowadzić zaraz. Dzisiaj, w tej chwili.

P. CHOMIŃSKA.

Ależ panie — fe! Tak bez wypowiedzenia?! Tego pan nie zrobi.

JERZY.

Zrobię... Ja zapłacę co tylko pani każe.

P. CHOMIŃSKA.

Pana musiano kąpać w bardzo gorącej wodzie.

JERZY.

Tego nie można zaprzeczyć.

P. CHOMINSKA.

Więc pan o Julci... daje pan słowo?

JERZY.

Zupełnie słowa nie daję; najzupełniej! Wolno pani wierzyć, lub nie.

P. CHOMIŃSKA.

Ależ w takim razie...

JERZY.

A — w każdym razie jest mi bardzo przykro i wyprowadzam się. Ja spodniczkomanem... przepraszam, ja erotomanem nie jestem, ja na erotologów pluję, ja na spodniczkomanię pluję, ja na spodniczkologów pluję, pluję, pluję, pluję, plu...

P. CHOMINSKA.

Tak w koło — bez żenady?

JERZY.

Przepraszam, ale pluję.

To jest fenomenalnie intuicyjny talent, może geniusz... tego tak naprzód obliczyć nie można. A ja. Czem ja jestem wobec niej? Ja jestem kretyn, idyota, przepraszam, może co niestosownego, hehe. I jakiś substrat erotyczny! Hehehe!

P. CHOMINSKA.

Kochany panie Jerzy. Ależ w takim razie mam w panu sprzymierzeńca!

JERZY.

Jakto?

P. CHOMIŃSKA.

Widzi pan, tego pan nie zaprzeczy, że odkąd pan u nas jest... pański wpływ...

JERZY.

Wpływ? Ja — hja. Cóż ja i wpływ. Ja jestem jeszcze zbyt młody i dopiero początkujący... Ach tak, tak. Pani myśli, mój wpływ osobisty.

P. CHOMIŃSKA.

Osobisty, osobisty, jako przyjaciel domu.

JERZY ukłon.

Panna Julia wogóle jest wybitną indywidualnością.

P. CHOMIŃSKA.

Pan zna życie. Wie pan, że nie jest zbyt lekkie. Stosunki nasze pan zna, wie pan, że córkę wydać zamąż, obowiązkiem jest. No, niech pan powie, może być kobieta na świecie sama jedna?

JERZY.

Pani myśli, absolutnie sama? niee! Dusi śmiech.

P. CHOMIŃSKA.

A widzi pan! Niech pan raczy pomówić z Julą, ona panu powie wszystko i niech ją pan skłoni do tego, czego ja od niej żądałam. Ja pana bardzo, bardzo o to proszę.

JERZY.

H-e. Nie wiem, o co idzie; a w każdym razie, ponieważ pani do mnie, jako do przyjaciela domu, rozejrzę się w sytuacyi, jeżeli oczywiście panna Julia na to pozwoli.

P. CHOMIŃSKA z radością.

I zrobi to pan, prawda? Ja teraz liczę na pana. Ściska mu ręce.

JERZY.

W każdym razie, zasadniczo, może być pani pewną, że postąpię tak, jak postąpić powinienem.

P. CHOMIŃSKA.

Dziękuję panu stokrotnie. A teraz powiem panu pod sekretem — pan tam naturalnie kiedyś zda egzamina.

JERZY.

Musiałbym się chyba wściekle nudzić. Przepraszam, ale pluję w doktoraty!

P. CHOMIŃSKA.

No, no jakoś to będzie. Niech pan mi powie, co pan myśli... pan zajmuje się wiele — znawca ludzkiej duszy... co pan myśli o Cesi?

JERZY.

Fenomenalna inteligencya! A, to jest fenomenalnie biała duszyczka! I ta ciekawość, praźródło wiedzy.

P. CHOMIŃSKA

Prawda? Gdybym nie była jej matką, powiedziałabym: prawie cudowne dziecko, panienka szybko się rozwijająca, jak pan myśli?

JERZY.

Naturalna rzecz, ja zupełnie nie byłbym zdziwiony, gdyby na przykład pisała poezye, naturalnie całkiem niewinne, całkiem młodociane, ale z których z czasem począćby się mogły arcydzieła. Epokowe.

P. CHOMIŃSKA.

Pan jest bałamut, nawet zupełnie mimowoli, jak magnes! Uważał pan... Jak to ona pana, hahaha... prześladuje oczyma, gdy ja nie widzę.

JERZY.

Nie! Jak Boga kocham!

P. CHOMIŃSKA.

Nic, nic, ja przecież nic nie mówię. Ja tylko zwracam pańską uwagę, chciałabym wiedzieć, co pan... sądzi.

JERZY.

Ach! Przepraszam bardzo! Chyba pani, no naturalnie! Stosunek do mnie — jako objekt psychologiczny... z punktu widzenia oczywiście. Taak. Wogóle zaprzeczyć nie można, że zdarzają się wypadki wcześnie kiełkującego erotyzmu. Ale to ostatecznie nawet jest kapitalnym rozczynem psychicznym ze względu na ogólny rozwój duszy.

P. CHOMIŃSKA szybko.

Nie prawdaż? Ściska ręce Jerzemu. Niech pan pamięta o tem, o mojej prośbie. Z góry dziękuję. Odchodzi szybko.

JULIA i JERZY.

JERZY stoi zamyślony.

JULIA.

Cóż taka konferencya długa. Chwyta ręce Jerzego. Cóż wam matka mówiła?

JERZY nie patrząc na Julię.

Cóż? Ja wam tego wcale nie myślę taić, że cały świat i tak zwane społeczeństwo, to jest idyotyczny tramwaj. A na sztuce nie da się robić businesu, jak na giełdzie. Widzieliście Bacę.

JULIA puszcza ręce.

JERZY.

Wyprawia bezpłatne spektakle i to nieregularnie. Tego się zaprzeczyć nie da, że chwilami można kapitalnie z głodu zdechnąć, bez zameldowania się w policyi.

JULIA.

A więc?

JERZY nagle wybucha śmiechem — toczy się.

Ależ to jest kapitalne. Ja dopiero teraz widzę. Pada na fotel, tupie nogami z rozkoszy. Hahahaha... ale mnie wzięła!

JULIA uśmiecha się.

Co wam matka mówiła? Jurek!

JERZY.

Kapitalna filisterka ta wasza stara. Ale mnie wzięła na psychologię!

JULIA śmiech.

Opamiętajże się człowiecze! Zlezie z was kiedy ta psychologiczna skóra? Co matka mówiła?

JERZY.

Ale to także jest paradne! Jak was kocham, Jula, wiecie do czego piła? Co? Poprostu, że my się mamy k'sobie — coś filisterskiego, coś erotyczno-romansowato-idyotycznie-matrymonialnego? Kapitalne, co?

JULIA nagle drgnęła, w oczach błysk. Wpatruje się w Jerzego.

A wy co na to?

JERZY.

Ja? Ja odparłem z oburzeniem podobną insynuacyę. Naturalnie.

JULIA.

Ach, tak.

JULIA odchodzi, staje przy fotelu, mówi z cichym smutkiem.

Ja wam się najzupełniej nie dziwię. Naturalnie, rozumie się samo przez się! Wy musicie mnie lekceważyć. Cóż — ja jestem głupia kawka.

JERZY.

Panno...

Palce przy wargach; oczy rozszerzone jakiemś zdziwieniem. Co to jest? Co ona mówi? Chce przerwać, pytać.

JULIA.

Wychowali mnie na pannę do wydania. Wy mną pogardzacie; to jest naturalne. Wy jesteście cały człowiek, olbrzymi talent, prawie geniusz... a ja... Z całem mojem dyletanckiem babraniem płótna! Ja pójdę na pastwę bylejakiego filistra.

JERZY.

Panno Julio!

Głowę pochylił, ręce opadły wzdłuż. Więc ona... Jula... Ah!

JULIA.

Rozumie się samo przez się! Podobna insynuacya!

Siada, głowę wspiera na dłoni. Dla czego on matce tak odpowiedział! Dla czego tak a nie inaczej. Jak odpowiedzieć miał, tego ona nie wie; ale... mówić z oburzeniem: insynuacya.. Gdyby inaczej odpowiedział... o, gdyby! Teraz już wszystko, już wszystko skończone.

Ja wam się najzupełniej nie dziwię. rzekła bardzo cicho.

JERZY

głowę opuścił na piersi. On dobrze słyszał — Jula mówiła: ja wam się najzupełniej nie dziwię. A potem: wy mną pogardzacie! On nią pogardza! Jula!

Siada przy fortepianie; wsparł się o pulpit, a głowę na dłoni. Prawa ręka opadła na klawiaturę.

Nie, nie! To jest tak dziwnie dziwne. To wszystko.

Kilka cichych tonów wymyka się z pod jego palców. Jest w nim tak, jakby coś nieznanego wychylało się ku niemu, smutkiem owionięte; jakby tony jakieś zbliżały się ciche.

Ona... Jula... ona powiedziała...

JULIA

głowę podnosi, patrzy. Tam, przy fortepianie usiadł. Teraz muzyka ku niej idzie... tam siedzi Jura. Jak on pięknie, jak cicho gra! To dobrze, że właśnie teraz gra... że tak cicho... tak pięknie...

JERZY czuje:

Jula głowę podniosła i słucha. A przedtem mówiła.. Nie, nie! Na pastwę. Jula pójdzie... na pastwę.. na.. na.. Co to jest, ta melodya czarna... ah, Chopin... marsz żałobny.

JULIA

zwraca głowę, wstaje, idzie. Uśmiecha się; on gra ciszej, coraz ciszej.

JERZEGO

głowa chyli się na piersi; ramiona na pult, twarz kładzie na splecionych palcach.

Zapada zmierzch.

Ciemne dźwięki, jak czarna pajęcza sieć, zasnuły pokój... cały pokój... ich dwoje... ich razem. Już nie gra teraz. Jest ciemna cisza.

...na pastwę... na pastwę...

JERZY czuje: Jula stanęła przy nim. Wstał.

Lubię te pieśń.

JULIA

patrzy w ziemię. Potem cicho odchodzi ku oknu. Za nią idą jego oczy — ona rękę oparła o ramę; stoi przy oknie.

JERZY idzie ku niej, ku oknu.

JULIA.

A! Jura! Patrzcie, widzicie?

JERZY.

Tak. Jest przy niej.

JULIA z radością cichą.

Ile razy to światło zobaczę tam, na tej wieży kościoła, za oknem, wysoko... wchodzi we mnie coś tak dziwnego! Tak mi wtedy jest jasno, tak jasno, oh!

Ale to przesąd, ja wiem.

A przecież, a jednak! Tam nie codziennie się świeci! Zdaje mi się wtedy, że przyjdzie do mnie coś radosnego... coś takiego... coś takiego...! Ja wierzę w to światło. Świeci, jasno świeci, czerwonym płomieniem. Głowę opiera o głowę Jerzego; tak stoją przy sobie. Chwila.

JERZY I JULIA krążą po pokoju.

JERZY w drzwiach.

Idę.

JULIA.

Dokąd idziecie?

JERZY.

Nie wiem. Przejść się.

JULIA.

Zostańcie, Jura.

JERZY.

Jestem jakiś zmęczony. Sam nie wiem. Jest mi wściekle głupio.

JULIA.

A... a wasz dramat?

JERZY.

Mój... dramat? Mój dramat? Haha; skończony, zupełnie, wszystko.

JULIA.

I czemuż wy o tem nic nie gadacie, Jurek!

JERZY.

Nikt się nie pyta, nikogo to nie zajmuje, czy ja wogóle cośkolwiek robię.

JULIA.

A dawajże tutaj. Przynieść mi w tej chwili. Zaświeca lampę.

JERZY.

Nie jestem pewien... zdaje się jednak... może nawet mam przy sobie.
Wydobywa drżącemi rękami moc świstków z kieszeni. Zarumieniony, zakłopotany, uradowany jest... To jego pierwsze dzieło. Hehe!

Rozsypuje się latający rękopism.

JULIA pomaga zbierać kartki, siada, składa na kolanach.

Nie marudzić. Czytać mi zaraz. Tupie nogą. No, będzie raz co z tego...

JERZY.

Hehe, naturalnie, rozumie się samo przez się.

JULIA

szykuje się do słuchania, poprawia suknię, chrząka lekko.

Cisza.

JERZY.

Hm — »Otch... hm, hm...

»OTCHŁAŃ«

poemat dramatyczny w pięciu aktach, z prologiem i epilogiem.

OSO-BY:

JULIA, JERZY, JOZIO, FREDZIO, MILCIA, WICIA, MISIA, CESIA, P. CHOMIŃSKA i KATARZYNA.

JOZIO wpada.

Jakaś drynda zajechała przed dom!! Wybiega.

JULIA cicho.

A —. zrozumiala.

JERZY zmiął kajet.

WICIA wbiega.

Jula! Wiesz kto przyjechał?

JULIA.

Wiem.

WICIA.

Już wiesz? Gdzie mama?

EMILIA.

No, przyjechał. Wiesz kto? Serca się spytaj.

MISIA.

Jula! Wiesz kto przyjechał? Prędko, meble pokrowce, już na schodach jest.

FREDZIO.

Jula, wis kto przyjechal! Hula, hula, pan Lesandel przyjechal, hulaa! Tarza się po kanapie.

KATARZYNA.

Paninko — wi panienka fto przyszoł? Przyszoł paninki kawalir.

JERZY złożył rękopis; chodzi zły, jak wszyscy dyabli.

P. CHOMIŃSKA zdyszana.

Meble... prędko... pokrowce... dywan... Jula! Dziecko moje. Córko moja. Porywa ją w objęcia, całuje. Wiesz, już przyjechał, na schodach. Cóż tak stoisz. Idźże prędko. Przebierz się. Suknia. Prędko. Idźże.

Wybiegania, wbiegania, biegania. Głosy w przedpokoju.

P. CHOMIŃSKA.

Włosy, Matko Boska. Daj ten fartuch obmierzły. Zdziera z Julii. Idźże przywitać się. Chodźże prędzej. Popycha córkę przed sobą.

EMILIA, MISIA, WICIA wchodzą.

JERZY sam, po chwili CESIA.

GŁOS BASOWY w przedpokoju.

Ej, panie — panie!

CESIA podbiega na palcach, tajemniczo, do ucha:

Panie Jerzy, coś mi się wszystko zdaje: pan Aleksander przyjechał. Znika.

JERZY machnął ręką.

Hehehe!

Sobota. Godzina dziesiąta rano. Salonik p.p. Chomińskich.

P. RADCA CHOMIŃSKI zajęty jest przeglądaniem aktów. Oprócz tego ma lat pięćdziesiąt, pali »regalitas« i nienawidzi głuchej Katarzyny. I cóż więcej? Chyba nic. Aha; nie jest łysy, lecz jest szpakowaty. Nosi kamizelkę, ale zapomina o tem, że guzik najwyżej zazwyczaj umieszczony oddawna oderwał się był. Dla czego dwa następne są zawsze wolne, wskutek czego, wliczając wyżej wspomniany a stale nieobecny guzik — trzy dziurki kamizelkowe misyi od krawca im wyznaczonej nie spełniają — pozostanie dla mnie na wieki zagadką.

P. CHOMIŃSKA, żona p. Radcy, ze względu na porę wczesną jest w sukni rannej, domowej i zasłużonej.

P. CHOMINSKI, P. CHOMIŃSKA i CESIA.

P. CHOMINSKA chodząc, głośno myśli.

No, spadnie kamień z głowy. Przynajmniej z jedną będzie spokój.

CHOMIŃSKI odwraca się tyłem, przegląda akta.

P. CHOMIŃSKA.

Przemówże.

CHOMIŃSKI.

A dajże mi pokój. Widzisz, że nie mam czasu. Surdut już oczyszczony?

P. CHOMIŃSKA.

Więc jakże, mówiłeś?

CHOMIŃSKI.

Co?

P. CHOMIŃSKA.

O Matko Boska — czy ciebie dom już nic nie obchodzi?

CHOMIŃSKI.

A ciebie obchodzą co moje szuflady z referatami, które dyabli wiedzą kto ma referować.

CESIA wchodzi szybko; w ręce długi surdut.

Całuję rączki, tato. Dzień dobry mamusi. Całuje.

CHOMIŃSKI.

Cóż? Koza wyspała się?

CESIA.

Aha.

CHOMIŃSKI biorąc surdut.

Co ona się tobą tak posługuje ta głucha.

CESIA.

Cóż znowu? Nic się nie posługuje. Nie miała czasu, no to ja oczyściłam.

CHOMIŃSKI.

Łasica, koza! Dosyć już. Odsuwa Cesię łagodnie. Cóż to ty jesteś, hę? Możebyś także referowała za mnie, co?

CESIA.

Dobrze. A co to takie »referowała« albo coś?

CHOMIŃSKI.

Referować, to znaczy moje dziecko, składać do szuflady, albo do pieca.

CESIA.

No, to ja będę referowała.

CHOMIŃSKI.

Masz. Daje tutkę z cukierkami.

CESIA otwiera.

Co to? Pomadki, pomadki, różowe pomadki, tatusiu, całuję...

CHOMIŃSKI.

Poszła koza, poszła, poszła.

CESIA.

Fredek! Fredek! Znikła.

CHOMIŃSKI.

A ta szelma Katarzyna! Tę babę musisz już raz przepędzić. Głucha bestya, jak pień.

P. CHOMIŃSKA.

Co ty właściwie ustawicznie masz przeciw tej Katarzynie?

CHOMIŃSKI.

Co ja mam? Arogancka baba.

P. CHOMIŃSKA.

Ale, potulny, poczciwy babsztyl.

CHOMIŃSKI zły.

Wszystkie baby są poczciwe. Ty także.

P. CHOMIŃSKA.

Ale dajże spokój.

CHOMIŃSKI.

No, to ja ci powiadam, albo ona pójdzie z domu, albo ja. Przegląda akta.

P. CHOMIŃSKA.

Ofiarujże z łaski swojej chociaż sekundę.

CHOMIŃSKI.

Człowiek musi już na ziemi przechodzić czyściec małżeński. Czego ty właściwie mnie katujesz? Mają dzieci co jeść? Mają się w co ubrać? Ha? No więc.

P. CHOMIŃSKA.

Ależ stary — bójże się Boga — czy to wystarcza jeść dać dzieciom? Cztery córki na wydaniu — wszystko siedzi w domu...

CHOMIŃSKI.

Przecież ja się z niemi nie pożenię. Dość mam ciebie jednej. Dziewczęta młode, mogą czekać. Wstaje.

P. CHOMIŃSKA.

Ojciec, czekajże, dokąd idziesz?

CHOMIŃSKI zatrzymuje się.

Do — he — kasyna.

P. CHOMIŃSKA.

Na karteczki? Co ty masz w tem kasynie?

CHOMIŃSKI.

No, siedziałem spokojnie w mojej klicie, wytropiłaś mnie; uciekłem tutaj, ta hejże za mną! Schowałbym się pod ziemię. Akta... robota... prezydent i żona!

P. CHOMIŃSKA.

Słuchajże... Z racyi przyjazdu trzeba urządzić może jaką małą herbatkę tańcującą. Jak myślisz?

CHOMIŃSKI.

A dobrze. I owszem. Urządzaj.

P. CHOMIŃSKA.

Tak, ale widzisz, dziewczęta muszą mieć nowe suknie.

CHOMIŃSKI.

Wiedziałem, że się tak skończy interview. Pieniędzy nie mam, nie dam. Urządzaj tańcującą herbatkę, ale w starych sukniach.

P. CHOMIŃSKA.

Żałujesz tych kilku reńskich.

CHOMIŃSKI.

Ależ nie mam, kobieto, zlituj się, ja pieniędzy nie robię!

P. CHOMIŃSKA.

Jakto nie masz? Dzisiaj dopiero dziewiąty, a ty już pieniędzy nie masz!

CHOMIŃSKI.

Ta... ta... ta! »Już« pieniędzy nie masz! Wypaproszyła mnie na pierwszego i woła: »już pieniędzy nie masz«.

P. CHOMIŃSKA.

Jakto... Pół pensyi ci zostało.

CHOMIŃSKI.

Pół pensyi. Gadanie austryackie.

P. CHOMIŃSKA kładzie rękę na pierś męża.

Ej stary — pokaż-no pulares.

CHOMIŃSKI.

Widzisz — osobista rewizya, czy co? Broni się.

P. CHOMIŃSKA wyciągnęła pulares, przegląda.

CHOMIŃSKI nadrabiając miną.

A od sędziego śledczego polecenie masz? Dajże pulares?

P. CHOMIŃSKA wyjmuje banknot.

Z całej pensyi dziesiątka! W karteczki, naturalnie w karteczki.

CHOMINSKI.

W karty! Także gadanie! Naturalnie w biurku! W kancelaryi, zapomniałem.

P. CHOMIŃSKA.

Kłamiesz, ja widzę po tobie. Oddaje.

CHOMIŃSKI.

No, przecież w domu werthejmówki nie mam. W urzędzie zawsze jest bezpieczniejsze. Szpera w pularesie. A dziesiątka? Gdzie jest dziesiąt... aha jest.

CESIA wbiega.

Tatusiu, przyszedł, proszę taty, ten gruby pan.

CHOMIŃSKI.

Kogóż tam znowu dyabli niosą zaraz ż rana.

CESIA.

On sam przyszedł. I wczoraj był, a tatusia nie było — i dzisiaj już był.

CHOMIŃSKI.

Bąbara! Nic innego tylko Bąbara! A to szelma lichwiarz! Lećże powiedz, że mnie w domu niema.

CESIA.

Dobrze, tatusiu.

POPRZEDNI i ROLEWSKI.

Otwierają się drzwi główne, wchodzi:

ROLEWSKI.

A może nie w porę? Dzień dobry.

CHOMIŃSKI.

Oleś!! Biegnie, ściskają się.

P. CHOMINSKA.

Ale proszę, domowy, taki przyjaciel, zawsze w porę.

CHOMIŃSKI.

Sam Bóg cię tutaj przysłał! Jakże się masz Oleś, wyspałeś się po drodze?

ROLEWSKI.

Panie radco, panie, panie, spałem jak snop.

P. CHOMINSKA.

Po drodze, po drodze smacznie się śpi.

ROLEWSKI.

Mogliby mię ukraść. Dziękuję za pamięć.

CHOMINSKI jakby do siebie.

Sam Pan Bóg go tutaj przysłał w tej chwili.

ROLEWSKI.

Nie, pań radco, boginia miłości.

CHOMINSKI Rolewskiego pod ramię.

Mój drogi chłopcze, przepraszam cię. Ta szelma Bąbara.

ROLEWSKI.

Miałem tę szkaradną przyjemność, Bąbara. Za moich studenckich czasów pożyczało się na indeks.

CHOMIŃSKI zaaferowany.

Zapomniałem w biurze. Na pół godziny. Wyobraź sobie co za bezczelność. Zaraz z rana wyciąga mnie z łóżka, jak turecki święty.

ROLEWSKI.

A kolanem w tego — Do p. Chomińskiej. Przepraszam mocno. Do radcy. Za kark i za drzwi.

CHOMINSKI.

Wyrzuciłem, wrócił. Zresztą mam, słowo honoru — w kopercie przygotowane, zalakowane, zapieczętowane w biurze. A ta szelma w łóżku, jak turecki pastor w kopercie nie rusza się z miejsca i rób tu co chcesz. Pfu!

Na pół godziny; zatkać mu tego, rozumiesz.

ROLEWSKI.

Służę. Ile?

CHOMIŃSKI szybko.

Sto guldenów, nawet rata właściwie jest trzysta.

ROLEWSKI liczy.

50, 60, 70 — o 75 służę, jeżeli z kieszeni srebro. 2, 3, 4 — 79.

CHOMINSKI bierze.

75! — 75 wystarczy.

ROLEWSKI.

Panie radco, proszę te srebrne. To tylko dzwoni w kieszeni. Weźcież ojcze.

CHOMIŃSKI.

Nie, nie, nie. A mój drogi. A nie! Na pół godziny. Dziękuję ci mój drogi. Szybko wychodzi.

P. CHOMIŃSKA i ROLEWSKI potem CESIA.

P. CHOMIŃSKA.

Jakże się panu spało, kochany panie Aleksandrze.

ROLEWSKI.

Ja tylko na chwilę wpadam powiedzieć »dzień dobry«.

P. CHOMIŃSKA.

Na drugiem śniadaniu musi pan zostać.

ROLEWSKI wzbrania się.

P. CHOMIŃSKA

A tego mi pan nie odmówi. Dziewczęta zaraz zawołam, niech pan rozgości się tymczasem.

ROLEWSKI.

Tylko chwileczkę. Otóż ja tu leciałem, słowo uczciwości, jak na skrzydłach.

P. CHOMINSKA.

A godziło się to przez trzy miesiące nie dać znaku życia? Ładnie to? My w głowę zachodzimy, co z panem się dzieje — chory — umarł — co gorsza, zapomniał o starych przyjaciołach.

ROLEWSKI.

Nigdy pani radczyni, nigdy!

P. CHOMIŃSKA.

Trzeba pamiętać, nawet we Wiedniu, wśród wesołego życia. A, marnotrawny synek.

ROLEWSKI całuje jej ręce.

Marnotrawny, trawnomarny synek, hahaha!

P. CHOMIŃSKA.

I dla czegóż i dla czegóż to tak? Wyspowiadać się teraz trzeba!

ROLEWSKI.

Pani radczyni! Małżeństwo to jest ważny krok w życiu człowieka. Ludzie, którzy taki krok robią, to muszą być ostrożni, czasem kogoś na próbę wystawić.

P. CHOMINSKA podając ręce.

Wiem... wiem... nie dziwię się. To jest mężczyzna, który myśli seryo.

ROLEWSKI wstydliwie.

Pani radczyni, pani radczyni.

P. CHOMINSKA.

Tylko Julci niech pan tak zaraz tego nie mówi. Jej było bardzo, bardzo, bardzo przykro. Nie wiedziała dlaczego. Biedna dziewczyna. Oj wy mężczyźni, mężczyźni!

CESIA wchodzi bardzo skromnie. Szata świąteczna.

Dzień dobry panu sędziemu.

ROLEWSKI.

Dzień dobry, panno Cesiu.

CESIA.

Ja tylko przychodzę powiedzieć »dzień dobry« panu Aleksandrowi, panu sędziemu Aleksandrowi. Jakże się spało panu sędziemu po drodze?

P. CHOMINSKA.

Dlaczego ty nie poszłaś dzisiaj do szkoły?

ROLEWSKI podaje rękę.

Dziękuję. A pani, panno Cesiu?

CESIA.

Ja już czwarty dzień do klasy nie chodzę, a mamusia się pyta. Wolne, proszę pana, dwa tygodnie wolne, bo jest ospa w szkole. Umarło już 15. panien, u nas tylko trzy umarły, w naszej klasie. Aha, mamusiu, aha, jutro ja poniosę wieniec, muszę mieć czarne rękawiczki. Dostanę mamusiu?

P. CHOMINSKA.

Nie naprzykrzaj się.

CESIA odchodzi.

ROLEWSKI.

Panna Julia wczoraj była taka jakaś nieswoja!

P. CHOMIŃSKA szybko.

Drogi panie. Szalony ból głowy... Tu w skroniach.

ROLEWSKI.

Głowa. W skroniach? Joj!

P. CHOMIŃSKA.

I do tego taka niespodzianka.

ROLEWSKI.

W skroniach, w skroniach! Aj, ojajaj! to okropny ból. Wody, woda! Dużo zimnej wody. Tylko Kneipp — !

P. CHOMIŃSKA.

Ach, Kneipp! Drugi mesyasz formalnie! Jeśli wolno porównać.

ROLEWSKI.

Można porównać! Ja sam tak zawsze mówię. Ja wiem co to Kneipp znaczy. Niech sobie droga pani wyobrazi: przez dwa miesiące, przez całe dwa miesiące katar! W biurze skandal, koledzy chcą mnie wyrzucić, słowo uczciwości, bo co kichnę, to jakby kto inny z pistoletu

strzelił! Nic nie pomaga, nic, no nic. Dopiero, kto mnie uratował — Kneipp mnie uratował. Szukam, patrzę, jest: rano, w południe i wieczór — ale przed jedzeniem — czystą wodę wsiąkać z dłoni do nosa.

P. CHOMIŃSKA.

No i cóż? No i cóż?

ROLEWSKI.

Wsiąkałem. Po tygodniu, jakby ręką odjął. To się nazywa Kneipp!

P. CHOMIŃSKA.

Ależ naturalnie. Kneipp to jest Kneipp! Na to niema innego słowa. Nadzwyczajne.

ROLEWSKI.

A, jakże dzisiaj; panna Julia zdrowsza?

P. CHOMIŃSKA.

Dzisiaj zdrowa najzupełniej. Ubiera się. Zaraz zawołam dziewczęta. Sama przebrać się muszę.

ROLEWSKI.

Pani radczyni — jeszcze jedno, aby był ze mną już przecie raz koniec. Prędko — raz, dwa. Za miesiąc, może być za miesiąc?

P. CHOMIŃSKA.

Drogi panie, ale wyprawa jeszcze nie gotowa, ale wyprawa... nadzwyczajna, słowo panu daję, Worth czegoś podobnego nie zrobi.

ROLEWSKI.

Wyprawa? Nieskończona wyprawa? Ale to nic. Wyprawa się zrobi. Wyprawa może być i po ślubie! Tak jest, tak jest. Nie czekać, nie zwlekać, nie sejmikować... wyprawa po ślubie!

P. CHOMIŃSKA.

Jeżeli pan życzy sobie.

ROLEWSKI całuje ręce.

Tak jest, tak jest.

P. CHOMIŃSKA.

Popatrzę, czy już ubrane są moje panny. Tymczasem, tymczasem... woła. Panie Jerzy, proszę kochanego pana.

W naszym domu, pokoik zbyteczny. Dawniej Katarzyna, a teraz pan Jerzy.

ROLEWSKI.

Nie mam przyjemności.

P. CHOMIŃSKA.

Niejaki Boreński. Biedny student, ale bardzo inteligentny. Nawet literat podobno.

JERZY

wchodzi niewyspany, blady. Z początku bardzo sztywny i niepewny siebie.

Dzień dobry pani. Całuje w rękę, kłania się.

P. CHOMIŃSKA przedstawia.

Pan Boreński literat i przyjaciel nasz.

JERZY do Rolewskiego.

Początkujący, tylko początkujący.

ROLEWSKI.

Bardzo mi przyjemnie.

P. CHOMIŃSKA.

Pan Rolewski, narzeczony Julii i sędzia.

BOREŃSKI podaje rękę, cofa się.

ROLEWSKI.

Bardzo mi przyjemnie.

P. CHOMINSKA.

Raczy mnie pan zastąpić przez sekundę. Wracam zaraz.

JERZY.

Owszem, owszem, pani radczyni.

P. CHOMIŃSKA.

Pan sędzia mieszkał we Wiedniu, ocierał się o wielki świat. Pan Boreński, literat. Nie braknie panom tematu. Wyszła.

ROLEWSKI i BORENSKI.

BOREŃSKI i ROLEWSKI milczą przez chwilę. Spoglądają na siebie z zaciekawieniem. Ilekroć oczy ich spotkają się, odwracają głowy.

ROLEWSKI chrząka.

BOREŃSKI chrząka.

ROLEWSKI i BOREŃSKI chrząkają.

ROLEWSKI.

Pan jest literat.

JERZY.

Początkujący.

ROLEWSKI.

Młody talent, młody talent. A ja zaraz poznałem, że pan jest artysta.

JERZY dotknął czypryny.

He, pan zapewne zajmuje się fizyonomiką.

ROLEWSKI.

Fi-fi-zyo-gnomiką? nie. Ja jestem sędzią. Ja proszę pana... zdaje mi się, spotykałem pańskie nazwisko, ale potem we Wiedniu... straciłem nieco z oczu literaturę ojczystą — najmłodszą naturalnie. I dlatego nie przypominam.

JERZY.

Nie szkodzi.

ROLEWSKI.

Gdzie pan drukuje przedewszystkiem.

JERZY oburzony.

Drukuję?! Ja pluję na drukowane rzeczy. To jest profanacya. Wyjątkowo, wyjątkowo!... Jeżeli mnie ktoś zmusza — cel dobroczynny — naprzykład jaka jednodniówka, albo coś podobnego. H-e. Może pan czytał w swoim czasie »Jednodniówkę straży ochotniczej pożarnej«. Przed rokiem... marna rzecz.

ROLEWSKI śmieje się.

Marna rzecz — marna rzecz.

Rolewski ma haniebny zwyczaj przysuwania się ze stołkiem do osoby, do której mówi. Boreński tego nie lubi — więc ze stołkiem ucieka w tył. Po chwili jednak, zarażony przykładem, gdy zapali się, sam naciera na Rolewskiego — ten wtedy z grzecznością usuwa się.

Tak jeżdżą po pokoju Rolewski i Boreński.

ROLEWSKI.

Tak... tak... czytałem... Nie... nie... zapomniałem. Ale nie, musiałem nie czytać — byłbym przecież pamiętał. A honorarya... honorarya wobec tego... oczywista, pan... nie przyjmuje.

JERZY.

Rozumie się samo przez się.

ROLEWSKI.

A jakież są honorarya autorów, panów autorów.

JERZY.

Różne, bardzo rozmaite. Głównie od wiersza. Idyotyczna rzecz... ma pan szczęście, żeś pan nie czytał.

ROLEWSKI wstaje, uderza po ramieniu Boreńskiego — ten się usuwa.

»Idyotyczna rzecz«, pan jest dowcipny — o własnych utworach! Zostaniemy przyjaciółmi, ja to już przeczuwam.

JERZY.

Ja także. Stara się wysunąć ramię, ale absolutną fizyczną niemożliwością okazuje się ten experyment, dwukrotnie powtórzon.

ROLEWSKI.

W domu panny... Cesia, Milcia, Wicia, Misia, panie, panie! Ja także panie, ja także... Niktby tego po mnie nie przypuścił... Pisywało się wiersze...

JERZY ożywiony.

Pan pisywał... pan pisywał? I drukował może?

ROLEWSKI.

Ja nie. Całkiem niewinne. Ja także nie. Tak panie. Miłosne, hehehe, miłosne... »Róży ach róży«. Maj, panie, słowiki...

JERZY.

No, thak — ja najzupełniej nie zapoznaję wartości liryki erotycznej!

ROLEWSKI.

Erotyczna liryka, panie, panie! Dałoby się coś o tem powiedzieć. Pan także... pan także uderza lekko Jerzego w bok.. erotyczna... Panny w domu, jak cztery róże, jak lilie! Może co się kroi? Będziemy szwagierkami?

JERZY.

Dziękuję. Owszem, ale nie.

ROLEWSKI.

Dlaczego panie? Śpiewnie. »Miłość, maj, to jest raj«. Jak poeta śpiewa. Pan do panien — ostrożnie. Ale to, panie, naprzód, śmiało, bez przytomności.

JERZY.

Pan jest dowcipny, panie sędzio.

ROLEWSKI klepie Boreńskiego.

Ma się praktykę niejaką. Pan jest młody. A to panie, tylko wąs broń. Podkręca wąsa. Baczność wiara — naprzód śmiało. Do ataku broń. Marsz, marsz. I już. I już jest.

BOREŃSKI, ROLEWSKI, CESIA, EMILIA potem p. CHOMINSKA.

CESIA.

Dzień dobry panu, panie Jerzy. Nieśmiało wyciąga rękę.

JERZY ukłon, podaje rękę.

Dzień dobry pani, panno Cecylio.

CESIA.

Jakże się panu spało, panie Jerzy?

ROLEWSKI wygląda za drzwi.

JERZY.

Dziękuję pani, panno Cecylio. Kapitalnie, fenomenalnie, extraordynaryjnie. Dawno już tak nie spałem jak dzisiaj.

CESIA skromnie.

Panie Jerzy, co to może być. Śniło mi się, że... Jak to sen można wytłomaczyć?

JERZY lekko zirytowany.

Pani pozwoli, panno Cecylio... przyniosę pani sennik egipski przy sposobności.

CESIA.

Proszę pana, panie Jerzy. Mama ma sennik. Ale ja proszę od pana, panie Jerzy. Jak pan myśli. Śniło mi się, że umarłam. I leżałam w trumnie.

ROLEWSKI.

Okropny sen, panno Cesiu. Przed łóżko, przed panieńskie łóżeczko, trzeba położyć dywanik namoczony wodą. Wstaje się bosą nóżką i już sen znikł.

CESIA do Rolewskiego.

E, ja tak nie lubię. Do Jerzego. Jak pan myśli, panie Jerzy? Mnie się zdaje, że to znaczy, że ja zostanę zakonnicą w klasztorze. To to znaczy taki sen. Co, panie Jerzy? W klasztorze dobrze jest być, albo coś?

JERZY.

Owszem, owszem, panno Cecylio. H-e. Można mieć moc kapitalnych stimmungów. Nieco ożywia się. Klasztor, natura, cisza, zieleń, mury, białe szaty. Dziewice — welony. Owszem, owszem.

ROLEWSKI.

Natura, panie, natura!

CESIA.

To ja wstąpić do klasztoru, albo coś.

JERZY.

Owszem, owszem panno Cecylio.

CESIA zła.

I — !

EMILIA.

Dobry-dzień panom. Podaje rękę Boreńskiemu, potem Rolewskiemu.

ROLEWSKI.

Dzień dobry pani, panno Emilio, jak że się spało?

EMILIA.

Dziękuję uprzejmie.

ROLEWSKI.

Ja spałem jak — tego... możnaby ukraść po drodze.

EMILIA.

Nie dziwię się. Chce usiąść.

ROLEWSKI.

Tu, tu na kanapce.

EMILIA.

Dziękuję.

ROLEWSKI.

Zrobi mi pani wielką przyjemność.

EMILIA.

Jeżeli pan sądzi, że boję się kanapy, to się pan grubo myli. Siada.

ROLEWSKI do Jerzego, na boku.

Ale oryginalna! Ale oryginalna!

P. CHOMINSKA wchodzi zdenerwowana.

No proszę państwa wyobrazić sobie — Julci niema w domu!

ROLEWSKI.

A cóż się stało?!

P. CHOMIŃSKA.

Jeszcze po śniadaniu była, potem znikła.

ROLEWSKI z zawodem.

O-o-o!

P. CHOMIŃSKA.

Posyłam Katarzynę do państwa Podlipskich i niema jej tam. Posyłam ją do państwa Reckich; może tam jest, nie wiem, bo Katarzyna nie wróciła dotychczas. Jest z natury powolna.

EMILIA.

Może poszła na odczyt Borkowskiej?

P. CHOMIŃSKA z radością.

Tak jest, tak jest... nic innego tylko na odczyt tej Borkowskiej. Ale ona nie wiedziała, że kochany sędzia przyjdziesz.

ROLEWSKI.

A, pani radczyni, drobnostka. Ja przyjdę po południu.

P. CHOMIŃSKA.

Jula zaraz wróci, kochany panie, poślę natychmiast.

ROLEWSKI.

Nie pani radczyni, ja muszę iść.

P. CHOMIŃSKA.

Śniadanie w tej chwili.

ROLEWSKI całuje ręce.

Całuję rączki, ale pilne interesy... Patrzy na zegarek. Ajajaj — to już przeszła godzina — miałem być u vice-prezydenta.

P. CHOMIŃSKA.

Ta Jula — ta Jula — ta Jula!

ROLEWSKI.

A nic strasznego, pani radczyni. Zapraszam się na podwieczorek.

P. CHOMIŃSKA.

Prosimy, drogi Olesiu. Będzie tu dla pana coś specyalnego. Podaje rękę. Do miłego widzenia.

OGÓLNE.

Do widzenia się z panem sędzią.

ROLEWSKI.

Całuję rączki pani. Do panien. Róże, róże i lilie także. Do Jerzego. Bardzo mnie było przyjemnie poznać pana łaskawego.

JERZY.

Owszem, owszem — ja także, panie sędzio dobrodzieju.

P. CHOMIŃSKA i ROLEWSKI wychodzą.

EMILIA do Jerzego.

Cóż, filister? Prawda?

JERZY.

Filister, naturalnie filister — któżby to inny mógł być. Filister pospolity, philister domesticus, der gemeine philister. Nie, nie, nie, to nie jest zwyczajny filister. To jest extraordynaryjny filister, to już jest nadfilister!!!

P. CHOMINSKA wraca.

Misiu, proszę cię idź natychmiast... To jest poprostu... ja nie wiem Jezus, Marya — ta dziewczyna zdolna jest do wszystkiego. Kto wie, co to ma znaczyć. Idźże prędko za Katarzyną. Milciu, ty musisz pójść na ten wykład, czy jak tam.

EMILIA.

Ja nawet nie wiem, czy ten wykład jest i gdzie on jest. Wychodzi.

P. CHOMIŃSKA surowo.

Proszę! Od tego są afisze. A — pan Jerzy! No proszę sobie wyobrazić... Gdzie może być Jula?

JERZY.

Nie mam zielonego pojęcia, pani radczyni. Panny Julii jeszcze dzisiaj nie widziałem.

P. CHOMIŃSKA roztargniona.

Cóż? Jakież wrażenie? Pan sędzia; Rolewski?

JERZY.

Owszem, bardzo, bardzo miły człowiek.

P. CHOMIŃSKA

Prawda? Złote serce. Syn.

JERZY.

Bardzo towarzyski — wymowny. Powiedziałbym impresyonista-dekadent.

. P. CHOMIŃSKA nie słucha tego. W drzwiach.

Przepraszam pana. Pan raczy... jeżeliby kto przyszedł, niema mię w domu dla nikogo. Wrócę za godzinę, najwcześniej. Byle tylko sznicle, właściwie cielęcina ważniejsza nie przypaliła się — niech Cesia uważa. Odchodzi.

CESIA.

Dobrze mamusiu. Będziemy pilnowali, ja i pan Jerzy.

JERZY ukłon ku Cesi.

JERZY i CESIA.

CESIA.

Przepraszam pana, panie Jerzy, ja chciałam się pana spytać, panie Jerzy, tylko się wstydzę.

JERZY.

Owszem, proszę pani, panno Cecylio. Ja zaręczam pani, panno Cecylio, dziewiczą wstydliwość uszanuję i przedemną może pani, jak na spowiedzi... hm.

CESIA.

No — to proszę ja pana, panie Jerzy, co to jest takie «filistera«, albo coś?

JERZY.

A —. Filister to jest zero, nic, nul... To jest coś, co nie jest, a rusza się.

CESIA.

Wiem. Hm. Dziękuję panu, panie Jerzy. To może filister... to takie, panie Jerzy ma duszę, albo coś?

JERZY.

Do czego! Nie ma! To uległo się z filoksery — pani wie, panno Cecylio.

CESIA.

Wiem.

JERZY.

Taki owad, co to gryzie winnice pańskie. Teraz Pan Bóg jest na ludzi zły, bo grzeszą bardzo i zesłał drugi potop na sucho. Tak powiada Kneipp.

CESIA.

Potop?! To już koniec świata? Na sucho? E — pan nie chce mi powiedzieć.

JERZY.

Najświętsze słowo honoru, panno Cecylio.

CESIA.

Hm... No, to jeżeli takie owady, filistera, Pan Bóg — to trzeba modlić się i zacherlinem może — co panie Jerzy?

JERZY.

Hollodrio — hehehe! Pani jesteś genialna, panno Cecylio, całuje jej dłonie. to jest kapitalne!

CESIA.

Pan się śmieje ze mnie, panie Jerzy? Naprawdę? Niech pan prędko powie, nim się cielęcina przypali, poczem poznaje się filistera.

JERZY.

To wcale nie poznaje się. To się odczuwa.

CESIA.

Wiem.

JERZY.

Tutaj, w lewej kończynie prawej stopy nożnej — jest rodzaj swędzenia. Tylko niech pani tego nie zdradzi, panno Cesiu — nikomu.

CESIA.

I — ! Najświętsze słowo honoru. Podnosi prawą stopę, porusza nią lekko. Ja nawet, niebardzo, ale trochę — ja odczuwam teraz.

JERZY.

Widzi pani! Nic innego tylko filister. Tu, zaraz, niedaleko — w okolicy krąży filistera. Panno Cesiu, panno Cesiu — geniusz — fenomen! Wdzięczność moja ścigać będzie panią, aż poza grób! śmieje się.

JULIA i JERZY.

JULIA

jak burza wpada. Jest w żakiecie zimowym, włosy rozmierzwione wiatrem — czapeczka sukienna nieprawidłowo siedzi na głowie. Zrzuca żakiet, oddaje go CESI — ta wychodzi.

Lecę... do was... chcę wam wszystko powiedzieć. Macie... to jest dla was... Rzuca gałązkę. Jerzy chwyta ją.

JERZY.

Pinia? Gładzi sobie twarz gałązką.

JULIA.

Aha. Ukradłam... w botanicznym... Rano... słońce... śnieg... chciałam tarzać się po śniegu... ale tylko chodziłam... po kolana... Rozkosz! to nic, to co potem. Wystawa. Staśka mówi: na odczyt — ja nie. Ona odczyt; wstąpiłam na wystawę — zwaryowałam. Bronik, ja, Baca, wy, Grzela, wszyscy — cały świat — hołota, kretyny, idyoci, filistry. Wy także.

Widziałam, zobaczyłam, żyłam — razem z nią, z nim. Wiecie co? Byliście? Nie! Widzieliście? Nie! Podkowińskiego widzieliście »Szał«... szalonego Podkowińskiego szalony »Szał«. Nie. To nie widzieliście nic. O! O!

JERZY.

Cóż to jest? Jak to wygląda? Opowiadajcie!

JULIA.

Jak to wygląda. Wcale nie wygląda! To leci, spada, krzyczy! Opowiadać, co tu opowiadać — to trzeba widzieć!

Jest skała, pochylona, stroma, nad przepaścią bez granic, bez dna. Ze skały czarnej, nagiej z rykiem potwornym ześliznął się rozszalały koń kary — zjeżdża na zadzie; przednie nogi zgięte, rzucone wprzód, tym piekielnym skokiem na zatracenie. Grzywa rozwiana burzą — z wyrazem takiego dzikiego zaślepienia, zapamiętania się wichrowego — łeb skręcony w bok — a z pyska tego potworu, z tej rozszalałej bestyi apokaliptycznej idzie piana szaleństwa — obłędu, orgia życia i śmierci.

Potem — ja — nie! Ona — kobieta — nie — kobiecość!

Do potężnej szyi, do tego karku cudownego rumaka przylgnęła miłośnie kobieta — o, tak (gest) objęła go za kark — przylgnęła do

jego tułowiu — blada — oczy zamknęła — i z tym przedziwnym uśmiechem oddania — ekstazy miłosnej — rozkoszy i bolu — z włosami złotymi, zaplątanymi w krucze kiście grzywy konia — leci, leci z nim, ze sobą — ze swojem wszystkiem, cała idzie w przepaść, na zatracenie — w uniesienie, miłość, ból!

Oh — Szał — Szał — Szał!!

JERZY.

He he. Ja mówiłem Bacy. Podkowiński! Symbolizm!

JULIA.

Ja nie wiem, nie mam pojęcia, »szkoła«, »symbolizm« — pluję. Co mnie to wszystko obchodzi. Ja tylko wiem, że mnie porwał on sam, on, Podkowiński.

Chwycił mnie za włosy, porwał mnie za włosy i szarpał, darł, targał i wlókł mię nagą za włosy po śniegu, po twardym, po ostrym, zimnym śniegu... i przez całe ciało szedł mi jeden dreszcz szalony... jedno palenie... rozkoszne kłócie igiełkami zlodowaciałych szpilek pinij — od głowy, przez ramiona, przez piersi... przez kark...!

I tak wlókł mię wśród męki, wśród chichotu, łaskania, łechtania, drażnienia całej mojej duszy... tak mnie za włosy wlókł. A-a!

Tak mnie bił, tak mnie cudownie bił, tak mnie cudownie bił kopytami swojego czarnego demona!

Teraz jeszcze wisi przedemną ten obraz! Przymyka oczy. Mam go ze sobą... lecę razem z tą kobietą...

A — choćby w przepaść — a choćby rozwalić głowę, w czerepy strzaskać czaszkę, byle tylko lecieć i wiecznie czuć — to zimno i war, to kłócie igieł lodowych i te syczące krople rozpalonego ołowiu. Za to wszystko, za te wszystkie bóle, za tę całą tragi-farsę mojego życia, za to wszystko... wszystko... raz jeden w życiu rozkoszą rozszaleć!

A potem w przepaść. A potem — ukraść im tę chwilę, a potem runąć w przepaść... na wieczne, wieczne zatracenie... w śmierć!!

JERZY smutnie.

Szalona dziewczyna. Szalona Julka.

JULIA.

Hahahaha! Znowu »szalona Julka«, znowu »ostry szał« i to powtarzacie za nimi, za tem całem stadem... wy! Dlaczego? Dlatego, że wyszła na wierzch cała moja tęskniąca, płomienista dusza!?

Tu w tej piersi, tu w moich żyłach, tu w skroniach, w pulsach, w tętnach — tu lawa z hukiem przewala się, roztopiona, wrząca krew — i wy jej nie zdusicie waszemi teoryami, waszą filozofią, waszymi morałami. Nie zatamujecie tego... bo we mnie... bo ja... bo to jestem ja! bo to jest moje życie!

A w końcu co mnie to wszystko obchodzi, całe to idyotyczne stado gołębic, wron, kawek, perlic, indyczek! Ja, ja, ja! żądam innych praw, ja wołam o prawo dla mnie, osobne, wyjątkowe — bo ja nie jestem jednem z miliona zer. Szalona Julka! Haha! Ha ha ha ha ha!

JERZY.

Poco wy mi to wszystko mówicie?! Proszę was, uspokójcie się.

JULIA.

Psuje wam to nastrój? Może przeszkadza w przepisywaniu dramatu? Cóż tak srodze myślicie? W górę głowa, czupryne z czoła odgarnąć, wesoło mistrzu! Wesoło poeto! Wesoło miłośniku piękna!

Przyjechał w dryndzie królewicz, gwiazdka go przywiodła, światełko to moje! Ono nie pali się codziennie, Jura, wyjątkowe święto!

Zajechał w dryndzie królewicz, przywiózł ćwierć funta karmelków, pokłoni się ojcu, matce... pannie powie, księżniczce »dzieńdobry, jakże się spało? O pani, ja kocham cię, bądź moją... Na zawsze, na stałe, kochanko mej duszy. Emeryturę będziemy mieli, księżniczko moja«.

JERZY parska śmiechem.

Niechże was dyabli wezmą. Hehe, przepraszam.

JULIA.

Owszem, owszem.

JERZY.

Ale to jest kapitalny stimmung. Brakuje tylko symbolicznie-mitycznego Ikara, lecącego z poddasza na szyję, prosto w balię mydlin. Na ulicy, w biały dzień.

Ale mówmy o czem innem. Nie, mnie już także zaczynają dyabli szczypać w łydki! Zagrajcie co. No, proszę bardzo. Coś cichego. Lekko. Jakąś pieśń.

JULIA smutnie.

Cóż wam zagram? Co chcecie?

JERZY.

Cokolwiek, co wy lubicie.

JULIA.

Ja lubię walce, dla rytmu, dla tego falowania tanecznych dźwięków.

JERZY.

Tak. Zagrajcie wasze »Bajeczki ze wschodu«. I ja to lubię. Ładnie się nazywają: »Märchen aus dem Orient«.

JULIA.

A. Zagram wam co innego. Znacie »Walkürenritt« z wagnerowskich Walküryj?

JERZY z radością dziecięcą.

Wagner! Walkürenritt! pościg Walkiryj! białych dziewic o płomienistych kosach! Nigdy nie słyszałem! Proszę, proszę. Ależ to mi się zdaje, tylko na orkiestrę.

JULIA.

Mam wyciąg fortepianowy.

JERZY.

Nie! Blagujecie. He? Siada. Pssst! cicho. Już mnie niema. Wagner ma głos. Ssst!

JULIA

rozłożyła nuty. Nagle uderza obu rękami w klawiaturę; gra z szaloną brawurą frazesy z »Modlitwy dziewicy« Bądarzewskiej. Śpiewa:

Boże, daj męża — daj męża — daj męża!!

Śmiech jej przechodzi w wybuch śmiechu i łez — zatacza się od fortepianu ku fotelowi; śmiech graniczący ze spazmami cichnie.

Pauza.

JERZY.

Panno Julio. Dzisiaj w nocy, myślałem wiele o tem wszystkiem. O nas.

JULIA.

Nie teraz. Nie mówcie. Nie płoszcie mi tego widziadła. Cudowne. Jura, słuchajcie:

Pałac doży, śród lagunów weneckich. Noc jest zimowa, cicha, przejasna. Bal.

Maski — arlekiny — królewskie dzieci z przed wieków — dziewice wschodnie — hurysy — minstrele.

Książę z krainy lodów i śniegów — Otello — Romeo — torreador — bajazzo: pstrokata mieniąca się wstęga uśmiechów, żartów, zapustnej rozkoszy.

Fontanny szalonego wina chłodzą krużganki — osłonięte tujami, oleandrami. Kwiaty — kwiaty — kwiaty! Jasna dziwna woń sunie przez te balowe pokoje.

Paź — paź idzie! Smukły jak palma, wiotki, jak muślin weselnej dziewczyny.

Na twarzy maska, koronkowa, lekka, czarna.

Nie zna go nikt — on nie zna nikogo — ucieka w tłum.

Nie wiedzą, lecz czują, nie pytają, a myślą: piękny jest paź i dziwnie krągła jest pazia pierś.

Paź, dziecię królewskie. Piękny jest paź.

Lecz dalej... co dalej... Co potem?!...

JERZY.

Jula! Jula!

JULIA cicho.

Znowu mówicie: »Szalona Julka«?

JERZY.

Nie powiedziałem.

JULIA.

Ale pomyślałem.

JERZY.

Nie!

JULIA.

To wszystko jedno.. Ale dlaczego? Dlaczego cały świat, nawet wy, zdziera, szarpie te moje marzenia. Dlaczego mnie nawet marzyć nie wolno, dlaczego mi świat odbiera wiarę we wszystko, co piękne. Nawet w taką drobnostkę, w takie nic, wierzyć mi nie wolno.

Nie wolno wierzyć nawet w takie światełko.

I dlaczego wszyscy ustawicznie drażnią mnie!! Rzucają za mną kamieniem i ciągle wołają »szalona Julka — huzia — bzz! — Masz krzywy nos. — Bzz!«

JERZY.

Ależ, czyż wy myślicie, że każdy jest godzien nazwy: »Szalona Julka«? Że każdy potrafi być szalonym; Jula!!

JULIA.

Tak, tak, mówcie sobie co chcecie. Ja oczywiście stoję ponad takiem gdakaniem, ale zawsze — przecież. We mnie, na dnie duszy jest coś takiego, jak u nieboszczyka Udka. Biedne psisko. Struli go, bo się wściekł. A taki był pies — wy nie znaliście Udka? To był taki cudny pies i dobry, czarny pudel i taki, mówię wam, miał włos, jak wełnę jedwabną, aż rozkosz dotknąć. Taki to był ten Udek. I pozwalał się ciągnąć za ogon w kółko (uśmiecha się) a nawet nie warknął. Ale niech no kto, nawet ja sama, tak stanął przed nim, zakrzywił palec i mówi: »Udek masz krzywy noss — Udek bzzz«, to skoczył w tej chwili. Ojca raz nawet skaleczył, że była rana!

To ja, taka jestem. Po chwili siada na małej kanapce

Tak dzisiaj dziwnie ciężą mi włosy. Jura, wyjmijcie szpilki — rozplączcie warkocze.

JERZY

grzebieniem wyjętym z włosów, czesze je — potem gładzi jej głowę — pieści jej kosę.

JULIA.

Wiem i czytałam o wędrówce dusz. O metampsychozie.

JERZY.

Dzisiaj już ludzie nie wierzą w metampsychozę. Jest tylko coś podobnego u okultystów. Ale ja w to nie wierzę.

JULIA.

Dlaczego Jura. Dlaczego nie wierzyć w to, co jest takie piękne.

JERZY.

Tak, prawda. Chciałbym w to wierzyć, dlatego, że piękne. Ale ja wierzyć nie mogę. Są ludzie, którzy wierzyć nie mogą.

JULIA.

Nawet — chociaż chcą?

JERZY.

Tak. Choć nawet chcą.

JULIA.

Stałam przed Podkowińskim. I tak myślałam, a nawet nie myślałam: ja czułam to tylko.

Tego płótna przedemną, dotykały ręce zmarłego geniusza.

Przed tym obrazem on przemarzył noce i dnie — i całe miesiące — może nawet lata.

I wszystkie jego myśli i wszystkie jego uczucia, szły z jego duszy przez jego palce — przez jego ręce, przez oczy, przez usta, twarz, każde spojrzenie ku temu płótnu, lgnęło do farby — i już tak zastygło. Tam na wieki zostało.

Ten obraz — to jego dusza.

Gorącem zachwytu i wilgocią warg dotknęłam obrazu. I może wtedy — odtajało wszystko, zaklęte w to płótno — i przeszło we mnie. Wtedy, może wtedy, dusza Podkowińskiego przeszła w moją duszę. Jura, to śmieszne jest, to co ja mówię.

JERZY.

Nie jest śmieszne to, co wy mówicie.

JULIA.

Czy mnie wolno wierzyć, że jego duch i moja dusza — to jedno? Jura, powiedzcie — to takie piękne.

JERZY.

Tak Jula, to piękne jest.

JULIA.

Siądźcie tu przy mnie. — — Podobno studentki obcinają warkocze.

JERZY.

Nie wszystkie.

JULIA.

Ja moich włosów nie dałabym obciąć.

JERZY.

Ja moich także. Hehe.

JULIA.

Bo macie bardzo ładne włosy.

JERZY.

Ja wiem o tem i dlatego je noszę.

JULIA.

Pięknie wam jest gdy głowę podnosicie do góry — a włosy zsuwają się w tył. Wszystkie loki zsuwają się w tył.

JERZY.

A ludzie śmieją się z moich włosów. I dlatego noszę. Właśnie dlatego, że oni się śmieją.

Wczoraj długo włóczyłem się wśród ulic. Sam jeden. Spotkał mię jakiś pijany. Chciał mnie bić. Dlatego, że moje włosy są długie. Przeklinał mnie i gonił.

JULIA.

A wy cóż na to?

JERZY.

Wtedy rzekłem mu przypowieść o Kainie i Ablu. On słuchał skruszony słów tej opowieści — oddał mi pokłon wielki — i zasie odszedł w pokoju — błogosławiąc imieniowi mojemu.

JURA i JULA uśmiechają się do siebie, jak dzieci.

JERZY.

Nietylko dlatego noszę takie włosy. Ja noszę je także dlatego, że dobrze jest czasem przesunąć palce przez włosy. Są miękkie i długie. To wtedy zaraz inaczej się myśli.

JULIA.

A gdyby kto inny przesunął palce wśród włosów, czyby też także inaczej zaczęło się myśleć?

JERZY.

Może.

JULIA

przesuwa palce wśród włosów. Swoje palce przez jego włosy.

JERZY.

Mówią, że włosy i piersi dziewczęce — przedziwną wydają woń. Ale ja nie wiem.

JULIA.

A wiedzieć chciałbym?

JERZY.

Może. Julia pochyla jego głowę na swoją pierś.

Teraz włosy położyć na twarzy — a na włosach dłoń.

JULIA

kładzie włosy na twarzy, a na włosach dłoń.

Ten sam pokój.

JULIA i JERZY.

JERZY zrywa się.

To niepodobna! Jula, to nie może być! Ja na to nie pozwolę!! Wy nie możecie, wam nie wolno popełnić tego najohydniejszego z mezaliansów. Dzisiaj...

JULIA.

On tutaj był? Przeczucie wyprowadziło mnie z domu. Mówiliście z nim?

JERZY.

Tak. O nim nie będę do was mówił nawet. O was chcę mówić — słuchajcie: ten ogień olbrzymi jaki wam płonie we krwi i duszy — uszlachetnić tylko, oczyścić — a potem skierować w górę. W tworzeniu tylko znajdziecie zaspokojenie takiej namiętności — dlatego, że płomień ten choćby najsilniej bił w górę — nigdy nie dotknie ostatecznej granicy — tej granicy niema — zawsze zostanie coś ponad nim — zawsze jeszcze będzie punkt jakiś, ledwo dostrzegalny — hen w górze — do którego pchała was będzie żądza płomienista — a którego nie osiągniecie nigdy — wierząc silnie, że osiągnąć można.

I to właśnie, ta nieskończoność dróg twórczych — i ta żądza osiągnięcia ledwo dostrzegalnego celu — jest naszym — jest moim —

a będzie waszym najcudowniejszym cudem — życiodajnym cudem — życiem samem!

JULIA.

O, panie Jerzy — gdyby to było możliwe. Czasem, ja czuję w sobie siłę lwicy, splątanej siecią — chwilami wydaje mi się: szarpnąć raz jeden, a potargam ją i stanę wolna!

A potem myślę: rozedrzeć, roztargać — a co mam poszarpać — kogo? Tą siecią — moja rodzina, moja matka, mój ojciec, siostry, bracia, a z nimi, wszystko to, co ludzie nazywają »życiem«...!!

Jest tylko jedna rada, ja wiem: uciec z domu. Nie mam, ja nie mam odwagi zburzyć tego wszystkiego. Ja nieraz przeklinam ich, ale jakiś instynkt we mnie woła: to siostry twoje — to matka twoja!

Czy wierzycie — dzisiaj w nocy matka westchnęła przez sen! wtedy, zdawało mi się, że widzę matkę na katafalku. Czarna suknia, czarna trumna, świece żółte, lichtarze, tłum gawiedzi, ci czarni słudzy i... matka.

I matka żółto-biała, palce splecione, a na ustach, ah! na ustach piana. Potem, potem... księża... siostry, nie wiem dlaczego w białych sukniach, z welonami, jak do ślubu — śmiały się głośno. A ja zaczęłam nagle śpiewać: »Salve, Salve Regina«. Ah!!

Skazana na zagładę — raz na zawsze, bez nadziei ratunku! Po chwili. Panie Jerzy, wy mnie rozumiecie? Wy macie dla mnie trochę serca — prawda? Wy mi tego nie odmówicie. Wy mi dacie — rewolwer.

JERZY drgnął. Opanował się. Pauza.

Nie, wiecie co, Jula...

JULIA.

Więc, czego wy odemnie chcecie! Żyć nie dajecie, umrzeć nie pozwalacie — niczego nie wolno — wszystko zakazane!?

JERZY.

Wy macie talent, macie młodość, macie piękność, macie wszystko i wy chcecie to oddać na pastwę robakom! Tak marnie obłupić siebie z całej rozkoszy, jaką dać może życie — nie — na to trzeba już być fenomenalnie...

JULIA.

...idyotyczną kawką na wydaniu. Hahahaha.

JERZY.

Przestańmy. Hahaha. — No tak — uśmiechnąć się, wesoło! Tylko bogowie potrafią śmiać się w obliczu śmierci!

Pauza.

JULIA chodzi, staje.

JERZY siedzi zamyślony.

JULIA.

No i cóż tak będziemy siedzieli? Cóż tak wysiedzimy. Na dworze słonko, mój Jezusicku! E — pal sześć!!! Ruchajcie się. Bierem żelaziwo na pas, taj hajda! Nuta pobudki.

Na lód, na lód, na lód! Holender! W prawo, holendruje po podłodze. w lewo, prawo — lewo, raz — dwa, raz — dwa! No?

JERZY robi irytacyę.

A — pockajże dziewico! Ci mucha naprzykrzona.

JULIA przesuwając palce wśród czupryny Jerzego, nuci.

»O mój Jurecku
Weźze mie na lód«.

JERZY krzyknął:

Nie weznę.

JULIA j. w.

Jak cie lepsa myśl nawiedzi
To ty mnie weźmies Jurecku.
Jura — Jurecku,
Weźze mie na lód!

JERZY.

Czy z wami można gadać po ludzku?

JULIA.

Po ludzku można, ale po waryacku nie chyci.

JERZY wstaje.

To już finał. Ja potrafię porozumiewać się tylko z waryatami. Widzi pani, to jest tak. W tej całej sprawie moneta odegra violino primo. Nagle. Która teraz godzina? — Aha. Zatem nie wiele czasu. Muszę pożyczyć pieniędzy na bilet.

JULIA.

Jedziecie?

JERZY.

Tak. Postanowiłem w tej chwili.

JULIA z lękiem nieokreślonym.

Nie odjeżdżajcie Jura. Dokąd? Po co?

JERZY.

Słuchajcie panno Julio. Ufacie mi?

JULIA.

Jurek — ty pytasz?

JERZY.

Dziękuję. Nie zawiodę was. A teraz dajcie mi waszą rękę na to, że jutro zrobicie to, co wam poradzę; a poradzę jutro, jeżeli dzisiaj powiedzie mi się mój plan. Dają oni, łapkę?

JULIA bez wahania.

Daję.

JERZY.

Jeszcze raz — dziękuję... A teraz w drogę. Odchodzi.

JULIA.

Jura. Powiedzcie... dokąd i po co?

JERZY.

Tak jutro. Od jutra nowe życie! Jula!! Od jutra żyjecie — od jutra wszystko się zmieni!

JULIA z błyszczącemi oczyma.

Jura — powiedz — mów!

JERZY.

Słuchaj — ja długo walczyłem. Dzisiaj — całą noc — jeszcze przed godziną. Postanowiłem: ugnę się, aby was ratować.

Widzicie, mój papa jest zakazanym filistrem. Chciał, abym ja piwo warzył dla całego świata: technika — chemia — mechanika i tym podobne śliczności żelazno-piwne, ale ja dostałem dramatycznej perwersyi.

Konkluzya: apanaże, budżet do zera obniżon — ekskomunika wielka, familijna klątwa. Od półtora roku nie pisujemy.

A mój stary ma flotę. Kutwa, dusigrosz, filister monetarny — i mimo wszystko, lubi mnie — ja go także. Rozumiecie teraz?

JULIA.

Tak gwałtownie znowu, to nie.

JERZY.

Otóż tak; uważajcie: naprzód uszczypnę go w serce rodzicielskie — potem dotknę delikatnie kieszeni rodzicielskiej.

Biorę na wszelki wypadek rewolwer, aby zdemonstrować samobójczy eksperyment, ale mam zamiar — postrzelić się tylko w łopatkę.

Jednem słowem moneta będzie! Najwyraźniej w świecie powiem mu: »ojczaszku, zdycham z głodu — literatury się nie wyrzekam — a monety daj«.

Mam jeszcze jedną rzecz: jeżeli tamto z rewolwerem zawiedzie — to wtedy odczytam mu mój dramat. Jeżeli nie zemdleje z desperacyi i rozkoszy, to ja idę piwo warzyć — a ojciec zacznie pisać dra-mata. Punkt. Pauza.

JULIA śmieje się serdecznie.

JERZY.

Nie, żart w kąt. Mój stary mnie lubi a ja lubię mojego starego. To głupio jest, ale to już tak jest. A teraz — pamiętacie o tem, że daliście słowo?

JULIA podaje rękę.

Tak, Jura.

Pauza.

JERZY.

Jedno jeszcze — tymczasem wy pogadajcie z waszym ojcem.

JULIA.

Z moim ojcem. Tak, tak, tak. Dziękuję wam. Ojciec, ojciec, ja zapomniałam o ojcu. O tak, tak, ojciec to moja ucieczka!

JERZY ściskając obie dłonie Julii.

Do jutra. Biegnie.

JULIA woła cicho.

Jura.

JERZY odwrócił się.

JULIA po chwili milczenia.

Szczęśliwej drogi!

JULIA, JERZY i PODLIPSKA.

Wchodzi St. PODLIPSKA. Łyżwy na ramieniu.

JERZY ironicznie.

Uprzejme ukłony, pannie Stanisławie. Czołem, czołem!

PODLIPSKA podając rękę.

Czołem, mości trubadurze. Ucieka pan, dokądże? Tak wyglądam, jak sama Meduza, co?

JERZY.

Jeszcze piękniej, panno Stanisławo.

PODLIPSKA.

Zaczyna się pan buntować, przeciw płci...

JERZY.

...meduziej.

PODLIPSKA.

Hahaha. Proszę wrócić. Tego nie puszczę płazem. Będzie batalia. Dokąd spieszy mistrz bujnowłosy?

JERZY.

Przy sposobności. Jutro. Przeszła mi pani drogę — zła wróżba.

Nie podając ręki, odchodzi.

PODLIPSKA wzruszyła ramionami, staje.

Ta znowu śpi? Cóż to jest? Julka, hej, Jula!

JULIA przeciera oczy.

Nie odchódź jeszcze. Siadaj.

PODLIPSKA.

Hahaha!

JULIA.

Czegóż ty się śmiejesz?

PODLIPSKA.

Dobrze bawił cię ten trubadur długowłosy, skoro zasnęłaś. Jechaliście pewnie na tandemie po mlecznej drodze...

JULIA nerwowo.

Zobaczyłaś, że przestałam mówić i drwisz ze mnie.

PODLIPSKA.

Powtórzże o czem mówiłam z tobą, jeżeli nie spałaś.

JULIA.

No — mówiliśmy o ślizgawce wskazuje łyżwy Podlipskiej. ty chciałaś na ślizgawkę — ja nie chciałam — pan Boreński z nami — a potem wy rozmawialiście o medycynie i o Kneippie, a potem nie uważałam, bo myślałam, gdzie ojciec teraz może być — bo ja do ojca mam

interes — w bardzo ważnej sprawie... więc widzisz, tylko nie mówiłam, ale słyszałam.

PODLIPSKA okrąża Julię, ogląda ją.

JULIA spogląda na ubranie swoje, poprawia włosy.

Cóż ty mnie tak ogladasz, jak jakiego gada egzotycznego?

PODLIPSKA w śmiech.

Przywitajże się ze mną więc po raz drugi! Pociąga ku sobie Julię — kilka pocałunków.

JULIA poczyna łkać nerwowo.

PODLIPSKA łagodnie.

A przyjdźże do siebie, dziewczyno. — Cóż to znaczy?

JULIA tuli się do Stanisławy.

Teraz już wiem. To nic. Jestem zdenerwowana dzisiaj. Widzisz Stacha, nie spałam w nocy nic — aha — zupełnie nic. I dzisiaj to ja mam — pół twarzy śmiejącej, a pół płaczącej — aha. Nerwy. Ale już nic. Wiesz, wiesz już teraz. Ja mówię od rzeczy — prawda?

Pauza.

PODLIPSKA.

To ten krętoloki trubadur doprowadził cię do mdłości. Oczywiście.

JULIA.

Nie mów tak. Otrząsa się, zbiera energię. Ty byłaś — ty miałaś być dzisiaj na odczycie. Byłaś?

PODLIPSKA.

Byłam. Nie udał się. Nikogo nie było.

JULIA.

Borkowskiej odczyt nie udał się? Nikogo nie było?

PODLIPSKA.

»Nikogo nie było«. Było — oczywiście było. — Ludzi było masę. Ale co mnie to wszystko obchodzi.

JULIA.

O czem był odczyt?

PODLIPSKA.

Zapomniałam.

JULIA.

Hahaha. Czegożeś ty więc chciała.

PODLIPSKA.

Może — »kogo ty chciałaś?« Ale nie udało się. Idę na ślizgawkę. Może tam... Muszę się widzieć. Chodź ze mną. Po ciebie wstąpiłam.

JULIA.

Hahaha. Ty roztrzepanico moja. Całuje Stanisławę. Ja nawet nie wiem, za co ja cię tak lubię — ty, ty!

PODLIPSKA.

Ja także nie wiem.

JULIA.

Ja właściwie powinnam ciebie nie cierpieć; ja cię też nienawidzę z całej duszy całuje ją. — ale doprawdy nie mogę. No, basta. Trzyma rękę Podlipskiej — ta śmieje się. Ty masz usta —!

PODLIPSKA.

Prawda?

JULIA.

Gdybym była mężczyzną, poszarpałabym cię w kawałki z rozkoszy. Całują się. Nieraz tak sobie myślę: dlaczego ja ciebie lubię. Ale sądzę, to dlatego, że ja jestem malarką, a ty masz takie skarby na ustach i tutaj. wskazuje biust.

PODLIPSKA.

Naturalnie, ja tak samo myślałam.

JULIA.

Słuchaj — będziesz mi pozowała, obiecałaś — cały akt? Dobrze? Jeżeli mi nie odmówisz, to z takiej modelki zrobię moją »Białą męczennicę«.

PODLIPSKA.

Tylko twarz zmienić musisz.

JULIA.

Obawiasz się? — Stacha, z nas byłaby para. Mój motsny Boże! Gdybym ja tak chłopcem była!

PODLIPSKA.

Miałabym się z pyszna. Zadławiłabyś mnie tem pozowaniem — od rana do nocy.

JULIA.

Hahaha. Już widzę, że z ciebie taka będzie modelka, jak ze mnie zakonnica. Ale przyrzekasz przynajmniej?

PODLIPSKA.

A dlaczegoż nie? Chętnie. Ale dopiero po ślubie, po weselu. Mówiłam.

JULIA drgnęła.

Po czyjem weselu?! zdumiona. O czem mówiłaś mi?

PODLIPSKA zniecierpliwiona.

Przecież zapraszałam cię, na zaręczyny. Na środę. Chyba spałaś idąc. Przyjdziesz?

JULIA.

Więc to już? Ze Serbą?

PODLIPSKA.

Nie bierz-że mnie znowu, czy siebie za naiwną! Ze Serbą flirt, który się musi skończyć teraz — a narzeczonym moim jest pan Gorecki.

JULIA.

Go-re-cki? Stacha — ! Ależ jeżeli nie co inne, bo ze względów estetycznych. Łysy, stary kawaler!

PODLIPSKA.

Ja przecież nie wyskubałam mu włosów. Zresztą ma wysokie czoło — nie jakąś łysinę. Ty lubisz długie włosy — ja krótkie. Są gusta.

JULIA przycięła wargi.

A —. I ty idziesz za tamtego zamąż?

PODLIPSKA.

Oczywista rzecz. Bardzo miły człowiek.

JULIA.

Że starał się o ciebie — wiedziałam, ale że ty... hm. I jakiż powód, że przyjęłaś?

PODLIPSKA.

Przecież wiecznie nie mogę siedzieć w domu. Gorecki bardzo mi odpowiada.

JULIA.

A ten Serba?

PODLIPSKA.

Tu jest właśnie słaba strona całej sprawy. Szkoda mi chłopca. Ale nie, nie, dwa lata nudów, niewoli, walki o każdy bal, o każdą suknię; zbrzydło mi to. Trzeba już raz wesoło zajrzeć w oczy życiu. Zbliska. A czekać jeszcze dwa lata i potem być konsyliarzową, z konsyliarzem, ale bez pacyentów! Niee! Tak bardzo naiwną nie jestem.

JULIA.

Gdybyś ty wiedziała, jakie to wszystko na mnie szalone wrażenie robi — Stasiu — Stasiu.

PODLIPSKA.

Oj, ty gąsiątko moje sentymentalne. Gdzie ty chowałaś się?

JULIA.

Stacha, wiesz, nie przypuszczałam, że jesteś tak bardzo rozsądna. Czy ciebie zmuszają do tego?

PODLIPSKA śmieje się.

Kto mnie ma zmuszać? Do czego? Małżeństwo nie jest takie straszne. Obejmuje Julię. No — pa! To wpływ tego mistrza krętolokiego. Życie trzeba brać takie, jakiem ono jest. I umieć urządzić sobie, wedle możności.

JULIA usuwając się od Podlipskiej.

Frazesy i to dobrze przetarte. Życie jest takie jakiemi jesteśmy my. My tworzymy życie.

PODLIPSKA.

— a życie tworzy nas. Idziesz ze mną?

JULIA.

Nie!

PODLIPSKA.

Szkoda! Będę miała cięższą rozprawę.

Ano trudno! Dzisiaj, ostatni raz! (przed środą, haha!); no, może namyślisz się?

JULIA.

Nie Stacha, nie pójdę.

PODLIPSKA.

Zatem we środę mogę liczyć na moją »szaloną Julkę«? Przyjdziesz, przyjdziesz! Całuje Julię, która stoi bez ruchu. Dowidzenia. Środa, najpóźniej 8-ma wieczór. wychodzi.

JULIA stoi sama.

Zimno! Jakie tu wstrętne zimno. Ssss!

JULIA i CHOMIŃSKA.

P. CHOMIŃSKA wchodzi.

Moja Julciu, już żadnych wymówek nie będę ci robiła. Proszę tylko: więcej taktu — i pamięci o mnie.

JULIA.

Ja nie wiedziałam o tem, że on przyjdzie tak zaraz rano.

P. CHOMIŃSKA.

Mniejsza o to. Przyjdzie po południu. Gdzie te klucze? Utrapienie, zawsze giną. Szuka na stole, przerzuca papiery.

JULIA.

Mamo...

P. CHOMIŃSKA.

Masz? Aha, są.

JULIA.

Mamo — ja chciałabym z mamą pomówić szerzej. Mam wiele powiedzieć.

P. CHOMIŃSKA.

Nie mam teraz czasu. Później.

JULIA z goryczą.

Tak, tak. Na wszystko jest czas, tylko dla mnie go niema.

P. CHOMIŃSKA.

O cóż ci chodzi? Aha. Jeszcze może szkoła przez ten miesiąc. Ja teraz już nie mam nic przeciwko szkole. Chociaż dziwię się tobie!

JULIA.

O szkołę mniejsza. Tu o całe moje życie idzie! I szkoła także i wszystko...

P. CHOMIŃSKA.

Oleś zgodzi się na szkołę. Teraz on decyduje.

JULIA.

Jakto, on — decyduje. O czem? O kim? Czy wy już uważacie go za męża mojego — już dzisiaj? Mamo — błagam cię!

P. CHOMIŃSKA.

Przecież ty jesteś uparta dziewczyna!

JULIA podając pierścionek.

Weź to — oddaj mu, mamo. Zaklinam cię, mamo, ja nie kocham go — ja nie mogę iść za niego — mamo —

P. CHOMIŃSKA ze łzami.

Jula — dziecko. Ja wiem. Ale to już przepadło. Tego nie można zmienić. Nie kochasz — ale pokochasz. Zaczniesz go szanować, potem przyjdzie miłość. Nie wierz w te romansowe małżeństwa.

I proszę cię — nie mów o tem do mnie. Widzisz Jula, tego człowieka nie można nie kochać — anielskie serce — syn...

No, proszę cię — trzeba go było widzieć rano. Ojciec zapomniał pieniędzy. Bąbara nalega. Ojciec mówi...

JULIA zbliża się.

P. CHOMIŃSKA.

...do Aleksandra: »pożycz na pół godziny«. Skonsternowana patrzy w Julię,

na którą te słowa robią wrażenie przerażające... żeby chociaż mrugnął powieką, wyjął — daje bez zająknienia, jak syn ojcu.

JULIA.

Ma... mamo. Dosyć. Już wiem. Biegnie, staje. Gdzie ojciec?...

P. CHOMIŃSKA.

Co się stało?

JULIA.

Gdzie ojciec?

P. CHOMIŃSKA.

Mówił, że do kasyna —

JULIA.

Ile? Ile pożyczył?

P. CHOMIŃSKA.

Bagatela. 75 reńskich.

JULIA.

A — a! Jak chorą jałówkę! Za 75 reńskich.

P. CHOMIŃSKA.

Co ty...

JULIA załamuje ręce.

Na miły Bóg! matko — na miły Bóg! Przynajmniej nie tak — tanio mnie sprzedawajcie! wybiega...

P. CHOMIŃSKA

stoi oparta o stół. Oczy utkwione w jeden punkt. Rezygnacya:

Ha — !

Niedziela, popołudniu. Salonik pp. Chomińskich. Prócz papy, cała familia jest w tej chwili na przechadzce za miastem.

P. CHOMIŃSKI, KATARZYNA potem DEFILADA całej rodziny.

Pan radca wchodzi chwiejnym krokiem. Jest zaspany, przeciąga się. Kichnął. Woła:

Katarzyna! Katarzyna! *siada.*

O lamentatio felium!

O jerum — jerum. Kata- *kicha-* rzy-na!

To jest rozpacz kocura. *Przeciąga się.* Głuchaaa! Hohohop!

GŁOS KATARZYNY.

Hohohou. Ide, ide! *w progu* A to pon na mnie huko jak w lesie. *Weszła z tacą, na której nakrycie podwieczorkowe.* Ady z łaski pana Jezusa — głucho jeszcze nie jezdem. A bo co?

CHOMIŃSKI.

Słuchajno babo, przestaniesz, czy — *kicha.* mam cię wyrzucić zaraz? A limine?

KATARZYNA mruczy pod nosem, porządkuje zastawę.

CHOMIŃSKI.

A która to godzina?

KATARZYNA.

Ano wtorazby beła. Juści nieco — ino trzecia.

CHOMIŃSKI.

Idźże głupia babo, idźże. O trzeciej przyszedłem i znowu trzecia! Przecie jasno, jako w dzień. Cóż mi gadasz, że trzecia.

KATARZYNA.

Jużci o trzeci popeudniu zawdy jasno bywa.

CHOMIŃSKI.

Po czem?

KATARZYNA.

Ej, la Pana Boga żywego! Ta ci panu rajcy gadom, że popeudniu je.

CHOMIŃSKI.

No — no. Czas leci. Kicha. Trzecia. Uaa. Trzecia... Ktoby się spodziewał.

KATARZYNA.

Ja ta nie mówię, bo mi ta i do tego nic; ale pon znowuj sume zaspał dojzna.

CHOMIŃSKI kicha pięciokrotnie, raz poraz.

To jest katzenjammer, jak pan Bóg przykazał. Ostatni raz, a żeby tam piorun jechał na piorunie, ostatni raz. A to mnie urządzili.

KATARZYNA.

— uostatni, abo i nie ostatni.

CHOMIŃSKI.

A — be... iesz ty cicho, ty pałubo! kicha jak z moździerza. a — a — a!

KATARZYNA.

Ej, mój Boże, tyż to pon kicho fort, jachby fto z bata szczyloł!

CHOMIŃSKI.

No.

KATARZYNA.

Umrzyk wstołby z grobu — nie przymirzając!

CHOMIŃSKI wstając.

No, a kiedyż mi tę wodę dasz? Wołam od siedemnastu godzin.

KATARZYNA.

A kiejże pon wołoł uo wode! Juści chyba bez sen.

CHOMINSKI.

Uaaa. Wo-wody. Woda. No, zrozumiałaś babo? Do tego... pokoju.

KATARZYNA.

Wszyćko sie do góry nogamy wywraco. *Wyszła.*

Otwierają się drzwi od przedpokoju. P. CHOMIŃSKI spojrzał, szybko wyszedł. W tej chwili DEFILADA rodziny Chomińskich.

FREDZIO *wchodząc.*

Bum, bum, bum ta la... *bije dłońmi jak czynellami.* Wojsko idzie, banda gla, lom ta la ta, dziń ta la!

JÓZIO.

Pójdźcie o dziatki,
Pójdźcie wszystkie razem,
Tam do pokoju na kawę!

Wchodzi za Fredziem. Równocześnie idą przez pokój »gęsiego«: CESIA, MISIA, WICIA, MILCIA, ręce w mufkach. Defiladę kończy:

P. CHOMIŃSKA.

Idźcie dzieci, idźcie!

Znika, zamykając za sobą drzwi.

JULIA i ROLEWSKI.

ROLEWSKI.

Talent on tam pewnie ma. Ale oryginał!

JULIA *cierpko.*

Wiem, że jest oryginałem.

ROLEWSKI.

Co tam z tego całego talentu. Zawsze on relegowany, jak mówiła pani radczyni. A na to ludzie wszędzie mają oko. Tak, jakby to nie mógł zostać profesorem. Ale cóż tam mnie do tego.

JULIA dobitnie.

Prawdopodobnie.

ROLEWSKI biorąc z rąk Julii żakiet, potem kapelusz.

To jest rozkosz pomagać swojej pani.

JULIA.

Dziękuję. Ogrzewa ręce przy piecu.

ROLEWSKI.

Ja rozgrzeję, tak: tul, lul, tul! ruch dłońmi.

JULIA.

Dziękuję.

ROLEWSKI.

Ale tak delikatnie! Zaraz będzie cieplej w rączki...

JULIA.

Kawa zupełnie wystygnie.

ROLEWSKI zbliżając się.

Przy mnie nawet lód odtajałby. Jest tylko pewna panienka, która czasami bywa bardziej niż lód... Ja nawet nie powiem, która to jest ta panienka. Ta panienka powinna domyślić się sama — hahaha.

Nie — no to nie! Chodzi, śpiewa: »Kawaler zuch, kawaler pan«. Śledzi, jakie wrażenie zrobił na Julii. Ona patrzy przed siebie. Nie, to nie! Proszę powiedzieć, teraz, w domu już można. Niech Julcia powie: po cóż to było — fe! do kasyna wpadać, że aż podskoczyłem ze strachu. Sama między mężczyzn! I pana radcy już wtedy nie było. Do tego.

JULIA.

I na obiedzie także nie było i wieczorem także. Teraz pewnie śpi.

ROLEWSKI zbliża się.

Niechże ja dowiem się po co?

JULIA.

Mówiłam panu. Drobnostka. Zachcianka. Fantazya. Nic. Niema o czem mówić.

ROLEWSKI.

»Panu« — »panu« — »mówiłam panu«! Na miesiąc przed ślubem, nie mówi się tak, jak do obcego.

JULIA.

Proszę siadać do podwieczorku.

ROLEWSKI.

Zaraz... Ale ja muszę przedtem wiedzieć...

JULIA.

Ach! Dobrze więc. Ostatecznie jest mi to obojętne. Już wszystko jedno. Przedtem jednak proszę mi powiedzieć, co to było właściwym powodem owego milczenia, przez te ostatnie miesiące.

ROLEWSKI.

To mój system. Tajemnica. Niewłaściwości, zaniedbanie, nieporządki. W urzędach pocztowych listy ginęły!!

JULIA.

Więc... powie pan...?

ROLEWSKI.

»Pan« nie powie, ale ktoś inny powiedziałby. Ja nie wiem. Ale n. p. »Oleś« powiedziałby.

JULIA.

Jak pan chce. Odchodzi.

ROLEWSKI chwyta ją za ręce.

Powiem, powiem, powiem już, powiem. Już zaraz. Mój system. Chciałem tylko wystawić na próbę — siebie i Julię.

JULIA.

A — ?! Podchodzi ku Rolewskiemu. To radzę, odzwyczaić się od tego! Raz na zawsze. Tego wystawiania na próbę!

ROLEWSKI.

Ja bardzo przepraszam. Wiem, tak nie powinno być. Ale dzisiaj nie

zawsze można wierzyć, nawet sobie, cóż dopiero pannie na wydaniu. Chociaż ja wierzyłem. Czyż za to można się gniewać?

JULIA.

Ja też zupełnie nie gniewam się.

ROLEWSKI.

E — tak, jakby ci to wszystko jedno było.

JULIA.

Zresztą, mniejsza i o to. Ojciec pożyczył od pana pieniędzy. Czy to prawdą jest?

ROLEWSKI.

Prawda. No, a to co?

JULIA.

Naturalnie, że nic, chciałam tylko wiedzieć. Kobieca ciekawość.

ROLEWSKI.

Pożyczył na chwilę, bo zapomniał w biurze, czy jak...

JULIA z błyszczącemi oczyma.

Oddał?

ROLEWSKI.

O-o-oddał. Już oddał.

JULIA.

Słowo honoru?

ROLEWSKI.

Słowo. Schyla się. Słowo honoru. Rękawiczki spadły.

JULIA biorąc rękawiczki, powoli.

Dziękuję. Jak do siebie, uśmiech smutny. Słowo honoru! Pan Aleksander jest bardzo dobry.

ROLEWSKI z uwielbieniem.

Julcia... Julciu... taka »szalona Julcia«.

JULIA.

Mówisz: »Szalona Julka«. Ty o tem wiesz, że mnie nazywają »szalona Julka«?!

ROLEWSKI.

Wiem, wiem. I jeszcze wiem, od wczoraj; dowiedziałem się wczoraj. Coś ktoś narysował... na ścianie ktoś narysował... Jakaś panienka coś narysowała...

JULIA.

I co ty o tem myślisz?

ROLEWSKI.

Ja myślę — ja się boję. Co to potem będzie!

JULIA.

Ty, pozwolisz mi malować?!

ROLEWSKI.

A dlaczegożby nie?

JULIA.

Oleś!!!

ROLEWSKI.

I co tu mówić »pozwolisz«. To jest pytanie! A — maluj, maluj. Wszystko — dla mnie tylko honor. Wystawa — obrazy. Na biletach: »Julia Chomińska-Rolewska«. »Julia Chomińska« pauza »Rolewska«. Rozmarzony. Jeszcze sześć tygodni. A potem Julciu, a potem! Chwyta jej ręce, okrywa pocałunkami.

JULIA po chwili odrywa ręce; na boku:

Dzisiaj jest dziwny dzień. Tak wszystko drży — drrży — drrrga!

JULIA, ROLEWSKI, JÓZIO, FREDZIO, potem JERZY BOREŃSKI.

ROLEWSKI patrzy w JULIĘ, jak w oślepiający blask.

JULIA w śmiech. Śmiech, w którym zmysłowość, sarkazm potem nuta swobodnie swywolna.

Oleś, Oleś... Hahaha. Malutki Oleś... Na włóczce... Będziesz mi pozował, cały akt. Rozumiesz?

ROLEWSKI.

Pozował? Do portretu? A codziennie, od rana do nocy! Ja nawet

ci powiem, że mnie było bardzo przykro. Malowałaś tego i owego, a mnie nawet nie spytałaś się, czy ja chciałbym też.

JULIA mierząc go oczyma.

I będziesz pozował... cały akt?

ROLEWSKI.

Jakto »akta«?

JULIA zniecierpliwiona.

No, tak — cały, od góry do dołu. Nagle chwyta go za łokieć, zsuwa rękaw w tył. Zdjąć to... wyrzucić... Szarpie.

ROLEWSKI.

Co?

JULIA.

Mankiet. Prędzej. Drżącymi palcami rozpina zapinki mankietu, rzuca go na ziemię.

ROLEWSKI gapi się, zdziwiony.

JULIA zsuwając rękaw koszuli i surduta powyżej łokcia.

Odsunąć to, proszę zgiąć w pięść.

ROLEWSKI zgina palce w pięść.

JULIA.

Ramię sprostować. Odsuwa się — patrzy. Jak spiż!

ROLEWSKI dumny.

Ho ho!

JULIA.

Jak kute. Zbliża się lekko, jak kocica dzika, gładzi nagie ramię Rolewskiego; nagle skurczyła wszystkie palce.

ROLEWSKI.

A-u! Opuścił rękę.

JULIA szorstko.

Hahahahaa. Na boku. Ja oszalałam?!

FREDZIO niosąc na tacy pączki.

Mama przysyła poncki.

ROLEWSKI do Fredzia.

Dziękuj mamusi.

JULIA.

Postaw na stole. Nagle. Proszę stanąć, jak z dyskiem.

ROLEWSKI.

Nie rozumiem. Śmieje się.

JULIA w rękę Aleksandra wkłada srebrną, owalną cukiernicę.

ROLEWSKI.

Ej, pani, pani. Co to ze mną wyrabia.

JULIA.

Nie ruszać się. Ruch dyskobolowy. Prawa ręka w tył. Lewa na plecy.

ROLEWSKI.

Aha. Dyskobol.

JULIA odsuwa się, podziwia.

Antyk współczesny! Teraz, rozmach!

ROLEWSKI robi to.

JERZY wchodząc.

Ależ to jest grecka rzecz!

ROLEWSKIEMU wypada cukiernica w stronę Jerzego. Cukier rozsypuje się w powietrzu. BOREŃSKI odskoczył w bok.

JULIA parska śmiechem.

FREDZIO.

Cukiel! Cukiel! Zbiera, ładuje do buzi, kieszeni.

ROLEWSKI zawstydzony.

Cukier się wysypał. Schyla się, zbiera.

JÓZIO wbiega.

O-jej!

JULIA do przechodzącego mimo niej Boreńskiego, przez śmiech.

Przyjechaliście? Wyciąga rękę na powitanie, JERZY nie widzi tego, staje przed piecem, ogrzewa dłonie. Na twarzy zastygły sarkazm.

JÓZIO.

A cóżeście wy zrobili?

ROLEWSKI skulony przy ziemi do Fredzia:

Ej, ty kłusowniku.

JÓZIU.

Dawaj cukier, Fredek. Całe garście. Fredek.

FREDZIO ma garście pełne cukru. Z tyłu otacza szyję Rolewskiego, wspina się.

Na balany, na balany plosę pana, na balany!!

ROLEWSKI.

Na barany. Hohoho!

JÓZIO.

Fredek. Pan sędzia obrazi się. Fredek, a zleziesz ty. Chce go ściągnąć, FREDZIO fika nóżkami.

ROLEWSKI wstaje, podtrzymuje dziecko.

FREDZIO.

Wio — hetta, wiśta, wio!

ROLEWSKI.

Hop, hop, hop,
Jedzie chłop
Z chłopem pan
Z panem żyd.
A za żydem żydóweczki
Pogubiły patyneczki.
Chatałaj, chatałaj, chatałaj.

JERZY śmieje się serdecznie.

Kapitalny stimmung familijny! Błysk ironii. A pantofle? Do Julii. Kupiła już pani pantofle?

JULIA.

Hurrah! pantofle! Wiwat.

ROLEWSKI.

Pogubiły patyneczki. Chatałaj, chatałaj!

JULIA.

Oleś, słuchaj! Ściąga Fredzia. Umykaj ty brzdącu!

FREDZIO.

Jesce, jesce!

JULIA.

Józiu, zabierz tego raka.

JÓZIO.

Chodzi szkrabie. Dość.

JULIA.

Chcesz mieć ślubny prezent?

ROLEWSKI rozbawiony.

Hop, hop — jedzie chłop...

JULIA.

Panie sędzio...

ROLEWSKI.

Do usług — pani sędziny.

JULIA klaszcze w dłoń.

Hahaha. Zaraz. Kapitalne, fenomenalne! Chcesz mieć prezent?

ROLEWSKI.

Nic, a nic nie rozumiem.

JULIA szybko nalega.

Idź, kup zaraz włóczki, dużo włóczki: zielonej, czerwonej, żółtej, białej; dwa łokcie kanwy.

ROLEWSKI.

Co się stało? Łokcie kanwy! Do Jerzego. Słyszy pan?

JERZY.

Słyszę.

JULIA.

Prędko, nim sklepy zamkną. Jeszcześ tu?!

ROLEWSKI.

Naprawdę? Chcesz? Zaraz?

JULIA.

Natychmiast. Niedziela. Sklepy zamkną.

ROLEWSKI do Jerzego.

Panie, słyszy pan?

JERZY:

Słyszę.

JULIA.

Jeszcześ tu? Umykaj z drogi!!

ROLEWSKI.

Ej, kapryśnica, moja pani. Do Jerzego, odchodząc. Niech pan się nigdy nie żeni z malarką.

JERZY.

Zasadniczo — w ogóle niema sensu.

ROLEWSKI.

Widziałeś pan coś podobnego?

JERZY.

Owszem, owszem, panie sędzio dobrodzieju.

JULIA.

Dwa tuziny igieł.

ROLEWSKI.

Różowej... i różowej także?

JULIA.

Cynamonowej, perlistej, gwoździkowej, czarnej, białej, tabaczkowej.

ROLEWSKI.

I różowej. Różowej także. Do Jerzego. Panie, ciężka służba! Znika.

JULIA i JERZY.

JULIA pada na fotel. Śmieje się. Milknie. Splecione ręce kładzie pod głowę. Przechyla się w tył. Powieki zwarte.

JERZY. Smutna ironia.

W marzeniach... w marzeniach — ?

JULIA.

W tej chwili niczego nie pragnę.

JERZY.

Tylko?...

JULIA.

Dajcie mi teraz wieniec róż i puhar wina. Evoe! Drgnęła, wyprężyła się, opada w tył.

JERZY.

Hehehe. I tego wesołego stroju niewinnej bachantki, chcesz pani pożyczyć od Aleksandra greckiego, najpoczciwszego filistra pod słońcem.

JULIA zerwała się.

Panie! To mój narzeczony!

JERZY.

Pani narzeczony — ?! On — tak. Ale ty — nie jesteś jego narzeczoną.

JULIA.

Dość, przez Boga żywego — dosyć. Więc co ja mam robić? Sprawia wam przyjemność, to komicznie rozpaczliwe plątanie się w sieci? Ja chcę, ja pragnę wydobyć się — ale jestem sama jedna — przeciw mnie wszyscy i wszystko.

Czy ty o tem wiesz, że on mi pozwoli malować?

JERZY.

A-a?! »Pozwoli«? Proszę! Dziwnie dobry człowiek. Według mnie to jest profanacya sztuki — pozwolić malować swojej haremowej damie.

JULIA.

Przestań! Znieważasz mnie pan!

JERZY.

Nie, nie, nie! Przebacz. Ja nie wiem, co mówię. Nie chodzi teraz o frazes. Jak można, Julio, jak można mówić »on pozwoli«. Co on... »pozwolić«, on — tobie! W jaki sposób tutaj wolno zabierać głos takiemu parweniuszowi.

JULIA.

Panie!

JERZY.

Przepraszam. Znowu wyrwało mi się coś, przepraszam. Miejcie wzgląd. Byłem w domu. Ojciec, mój ojciec. Wiecie, co się stało? Od dwóch miesięcy. A ja o tem nie wiedziałem nawet! Przyjeżdżam. Ojciec w łóżku. Noga. Lekarze. Amputacya. Wiecie, mojemu staremu nogę odjęli! Boją się gangreny. Myślałem, że klątwy, skandale. Stary ucieszył się. Mówił, że mu lepiej na mój widok i śmiał się mój stary: »Masz loki, jak panna«. Potem syknął, bo noga. A monety dał. Przywiozłem mamona.

JULIA.

To już wszystko jedno. Jura, już jest zapóźno.

Czy wy wiecie o tem, że ja chcąc wyrwać się z tej jednej sieci — zaplątałam się jeszcze bardziej w inną?

JERZY.

Jakto?

JULIA.

Ten człowiek ufa mi, on we mnie wierzy, on za mnie biłby się. A ja nigdy nie powiedziałam mu, że ja go nie kocham, że to mnie zmuszają. Chwilami przychodzi na mnie moment takiego uniesienia, gdy on jest, gdy zacznie twarz moją okrywać pocałunkami, ja nie mam odwagi bronić się, nie chcę bronić się, nie potrafię bronić się przed samą sobą. Daję się porwać, w tej chwili mnie samej wydaje się, że go kocham — i nie wyprowadzam go z błędu. Teraz, ja już teraz, nie mogę zdeptać tego serca, które on oddał mi bez pytania, bez wahania.

JERZY.

Plątanina bez wyjścia! Nie — po milion kroć sto tysięcy razy — nie! Jeżeli wy tego człowieka cenicie, jeżeli wy nie chcecie mu nieść nieszczęścia pod dach — nie idźcie z nim w życie.

Pamiętajcie o tem: ja dzisiaj wam jestem głosem sumienia.

Rzućcie okiem w przyszłość takiego życia, wyjdźcie myślą dalej, po za jutro i pojutrze.

Czemże jest dla nas — dla nas, Jula, którzy mamy miliony innych olbrzymich pragnień, czemże jest dla naszych dusz, ta tak zwana codzienna miłość? Czy wy tego nie czujecie, że artysta musi mieć swoją atmosferę, swoje powietrze, jak ptak?

Czy ty nie czujesz tego już dzisiaj, że cała jaźń twoja zwinie się w kolczastą kulę, gdy on jej dotknie z całą delikatnością niedźwiedzia. Czy wy tego wszystkiego nie czujecie?

JULIA.

Panie Jerzy... litości, choć kroplę... litości... bo oszaleję!

Tak jest, tak, ja wiem... ja czuję... nie kocham... ja nie mogę... ja muszę... tortury!

Ach czego ty odemnie chcesz?

JERZY.

Julio, jeżeli wy sama od siebie niczego nie chcecie — wtedy i ja niczego już nie chcę od was — dla was.

JULIA.

Poco mi mówisz to wszystko! Chyba poto tylko, abym już naprzód o wszystkiem wiedziała, abym już naprzód straciła wiarę w możność jakiego takiego życia, aby mi ta myśl, jak pijawka przylgnęła do mózgu, krew ssała już teraz, już naprzód — aby ta myśl ze mną już przyszła na nowe życie i zawsze była przy mnie, abym się wiecznie, wiecznie szarpała!?

Ach! Dosyć tego. Wiem co mam czynić!

Dość — koniec — już koniec raz!

JERZY silnie chwyta jej ręce

Dokąd? Po co? Gdzie?

JULIA szamocąc się.

Puść mnie. Skończyć, uwolnić się.

JERZY.

Nie puszczę, Jula. Zastanów się! Ja jestem przy tobie! Ja ci dam możność wyjścia.

JULIA.

Dasz? Przynieś. Daj. Rewolwer — daj.

JERZY rzuca jej ręce.

Ach, to do wściekłości doprowadzić może — ten sentymentalizm!

Wypada.

JULIA stoi. Osłupienie. Kolebie się, jakby wichrem targana.

JERZY wbiega z rewolwerem w ręce.

Masz.

JULIA błysk w oczach. Porywczo bierze rewolwer.

JERZY usta rozwarte — czeka.

JULIA patrzy, to na rewolwer, to na Jerzego.

JERZY zakłada ręce na piersi.

JULIA przesunęła dłonie po skroni. Rewolwer oddaje.

JERZY wziął broń. Kilkakroć skinął głową.

JULIA patrząc na Jerzego, sunie się wzdłuż ściany. Obłędny strach, potrąca fotel, osuwa się nań.

JERZY; słowa idą powoli:

Przyjdzie na wszystko czas. Jeszcze nie dzisiaj. — I ja go już miałem przy skroni.

JULIA wstaje.

A gdybym ja to — zrobiła. To wtedy — ty?

JERZY. Błysk. Twardo.

Poszedłbym za tobą.

JULIA.

Jurek!! To prawda jest — czy tak?

JERZY.

Tak.

JULIA. Łzy.

Oh!

JERZY cicho.

Nie potrafiłbym żyć, własną ręką podawszy wam rewolwer. Życie... rodzi życie, ze śmierci — wstaje śmierć.

Jakże ja zmieniłem się od wczoraj! Czego ja nie przeżyłem przez tę jedną dobę. — I ta noc, ta nocna droga! Ile nowych myśli, ile nowych idei przeleciało przez mój mózg! Wydało mi się, że dusza moja tężeje, hartu nabiera, męską się staje. Myślałem bardzo, bardzo wiele o was. I obmyśliłem wszystko. Zwrócony do Julii. Ale to od was zależy, od was samej.

Mówiliście, Jula, mówiłaś: »jestem lwicą w sieci«. Więc szarpnąć — raz jeden, mocno, a rozleci się wszystko — i już wolność jest! Niema innej rady: z domu uciec, wziąć się do pracy, kopnąć ten cały familijny tramwaj.

Dla nich miałabyście wy, poświęcać tę cudowną duszę, zapomnieć o tej małej, a rosnącej ciągle gwiazdce nad czołem? W górę głowa! Bo nad nią, bo na tem białem czole gwiazda zabłyśnie!!

Takie czoło nosi się wysoko. Ponad tłum. Jula — Szalona Julka!

JULIA.

Jurek — Jerzy! ja wierzę, ja płaczę!

Pauza.

JULIA, JERZY, ROLEWSKI i PODLIPSKA.

JURA i JULA patrzą na siebie, uśmiechając się.

ROLEWSKI wbiega zdyszany. Rzucił okiem na Julię i Jerzego.

Zdaje mi się, zapomniałem jedną rękawiczkę — jednej rękawiczki z prawej ręki — na lewej ręce mam rękawiczkę, z prawej ręki zgubiłem.

JULIA.

Szukaj.

ROLEWSKI.

Miałem w paltocie na lewej ręce, na prawej ręce nie mam. Schyla się, szuka.

JERZY w tej chwili z kieszeni Rolewskiego, wyciąga wystającą futrzaną rękawiczkę.

JULIA.

A gdzież był paletot?

ROLEWSKI.

A prawda, paletot był w przedpokoju.

JERZY położył rękawiczkę na stole.

ROLEWSKI wychodzi.

JERZY.

Pańska rękawiczka jest na stole. Czy ta?

ROLEWSKI osłupiał.

Ta. Dzię-dziękuję. T-ta. Wraca ku drzwiom.

JERZY tonem obojętnym.

Otóż, widzi pani, Kremer, do Rolewskiego. Niech pan zaczeka, panie sędzio. Usłyszy pan to, o czem mówiliśmy...

ROLEWSKI.

Ale, papa-panie.

JERZY.

Otóż Kremer. do Rolewskiego. Pan musiał znać Kremera, przynajmniej z widzenia. Ten wysoki... elegancki wąs, oprócz tego początkujący filozof — wiele obiecujący talent — potknął się o wołu, pędzili woły; najspokojniej zdjął kapelusz: »przepraszam« — poszedł dalej. Zdziwiony, że wół nie odpowiedział uprzejmości jakiej na taką grzeczność, oglada się i mówi sam do siebie — filozofowie czasem mówią sami do siebie, układają sobie przez drogę wiele chytrych systematów. Otóż tedy ten Kremer, Fulgenty Kremer, zaszczytnie znany filozof — zadumał się i rzekł: »Coś mi się wszystko zdaje, że to był wół«.

ROLEWSKI.

Hohoho. Hohoho. I cóż dalej?

JERZY.

Dalej idzie ów Kremer — i dalej chytrze kombinuje. W tem, nadchodzi jakiś jegomość, nizki, pękaty. Rolewski zapina guzik u paltota. Pod kapeluszem bezczelna łysina. Rolewski musnął włosy. Kremer znowu potknął się. Machnął laską, stanął i już w głos woła: »No patrzcie państwo, znowu ten sam wół«!

ROLEWSKI uderza się po kolanie.

Znowu ten wół! Znam panie, znam tę anegdotkę! Kremer! panie, panie! »Znowu«, patrzcie państwo, znowu Fulgenty — hahaha!

JULIA.

Zapominasz, że dzisiaj niedziela. Sklepy zamkną.

ROLEWSKI.

Prawda... prawda... Patrzcie państwo, znowu ten sam Kremer. Wychodzi.

JULIA.

A nie zapomnij kapelusza w cukierni włóczkę kupując!

ROLEWSKI.

Kapelusz? Mam, mam.

JULIA zatrzasnęła drzwi.

Szpieg. Głupi szpieg.

JERZY.

A my?

JULIA.

A — my?

JERZY.

Złodzieje!

JULIA.

Jerzy!

JERZY.

Tak. A to jest wstrętne, Julio, to jest wstrętne! To jest nędzarz, niema

nic ponad tę twoją biedną miłość — i ten ostatni grosz kraść mu?! Nie, to jest troszeczkę za małe dla mnie!

JULIA.

Opamiętaj się. Co to znaczy?! Jerzy!

JERZY.

Julio — źle jest. Źle, że o to pytasz. W tej chwili, gdy wszedł, w tej chwili — patrzyłem, czekałem, że lada chwila rzucisz mu pierścionkiem w twarz...

JULIA zrozumiała.

Ah!

JERZY.

że zerrwiesz z nim. Tak honor twój nakazywał, tak postąpiłbym ja.

Ja tutaj nie prawię ci żadnych morałów, ja sam radzę i proszę o zerwanie z tem wszystkiem i rzucenie się na arenę życia, ale z godnością, z podniesioną przyłbicą. — Mam odwagę brać to, co uważam za moje, mam siłę do walki o to, ale siły do kłamstwa brak mi. Jeżeli nie dla czego innego, to choćby dlatego, aby nie stać w jednej linii z milionem Rolewskich!

JULIA.

Ależ, Jura... pozwól...

JERZY.

Wepchnęłaś mnie w fałszywe położenie, o którem nie myślałem, w fałszywą sytuacyę, której można było uniknąć.

JULIA.

Ależ — Jura — zastanów się. Przecież... no, przecież ja byłam pod wrażeniem tego wszystkiego, co przedtem. I wobec ciebie rzucać pierścionkiem — Jerzy... zastanów się...

JERZY marszczy brwi.

To... to... prawda. Tak. O tem nie pomyślałem. I wobec mnie. Wybacz mi, to moje uniesienie. Widzisz, ja przerzucam się z nastroju

w nastrój szalenie szybko, a zwłaszcza dzisiaj. We mnie dzisiaj huczą wszystkie nerwy. Nie miałem racyi. Przebacz mi.

JULIA usuwa ręce.

Ty nie kochasz mnie.

JERZY.

Jula. — pfe! Tak nie powinna mówić wolna kobieta. To, czy ja cię kocham, lub nie — czy ty mnie kochasz, lub nie — to bardzo obojętne.

Bądź pewna, tej panny Chomińskiej — tej powiedzmy byłej narzeczonej jakiegoś tam Rolewskiego — nie kocham. Ta dla mnie nie istnieje. Ja chcę uratować w tobie człowieka-kobietę! Chcę, abyś żyła sama dla siebie i przedewszystkiem dla siebie. O mnie mniejsza na razie. Rozumiesz mnie.

JULIA.

Tak.

JERZY.

Kiedyś — później. My razem, to mogłaby być olimpijska muzyka, to przepajanie się wzajemne akordów myśli i uczuć!

O, to będą hejnały, grające wśród obszarów podniebnych — to wielki koncert srebrzystych dzwonów, ekstaza olbrzymia swoją ciszą bezkresów — takie tonie melodyi, wśród których zamilkną dusze, płynąć tylko będą wśród fal seledynowych — czucie w bezczuciu, takie oszołomienie przenajcudowniejsze, takie cudo nad cudy, wśród przepotężnej pieśni całej natury!!

JULIA.

Przestań. Mąci mi się w głowie. Usuwa dłonie.

JERZY.

Tak. Cicho. Teraz cicho. To jest marzenie o jutrze. Teraz spokojnie.

JULIA ze skargą.

Jura, ja boję się. Taki strach mnie bierze, że sił zabraknie.

JERZY.

Nie, nie. To nie jest tak źle. Ufaj, bądź silną tylko.

Pauza.

Idąc z dworca, oglądałem pokoik dla ciebie.

JULIA drgnęła

JERZY.

Mały bardzo, ogromnie podniebny, ale jasny. Pieniędzy trochę mam. Na mieszkanie wystarczy... Potem postaram się. Pieniądze grunt. Pieniądze są.

JULIA.

Pieniądze są?

JERZY.

Potem będziemy się starali. Sądzę, zawsze coś przecież wpłynie. Jakiś artykuł — coś. Tego tak przecież z góry obliczyć nie można.

JULIA.

Pieniądze? Jerzy. — Ile?

JERZY.

Nadzwyczajnych tam sum niema. No, ale w każdym razie 35 reńskich i coś centów.

JULIA spuściła ręce.

JERZY siedzi, ręce splecione między kolanami. Nagle wybucha: biegnie na środek.

Wesoło panowie! Wyprzedaż ideałów! Do jednodniówki strażackiej, pod placki wielkanocne dla cioci Femci! Wyprzedaż ideałów niżej cen fabrycznych. Licytacya, panowie, licytacya na marzenia. — Dwa centy od wiersza — poraz pierwszy — kto da więcej, panowie! Proszę bliżej, proszę wejść panowie. Spektakl po cenach zniżonych! Tutaj można widzieć małpę tresowaną: pluje frazesami — tutaj pokazuje się pudla: gra na własnej duszy — tutaj jest wielki skorpion, szczypiący się w łydki — tu z tramboliny skacze clown excentrique, wywraca koziołki etyczne — tutaj, panowie, połykacz scyzoryków socyalnych — proszę wejść, panowie! Proszę bliżej! Wesoło panowie!!

JULIA.

Jerzy. Na Boga żywego, nie męcz mnie.

JERZY biegnie ku Julii, wyciąga ręce.

Nie, nie, nie, ja nie chcę męczyć cię — ja tylko boję się twojego wahania.

JULIA.

I w ten sposób dodajesz mi otuchy!

JERZY.

Bo ja chcę, abyś wiedziała o wszystkiem, że na to trzeba siły, że to nie żart, nie zabawa — ale walka.

PODLIPSKA wchodzi. Cofa się na chwilę.

JERZY ogląda się.

O, idzie tutaj znowu ta kiepska karykatura przyjaciółki. Z nią zerwij. Boję się jej — i twojej miękkości — złej chwili. A odwlekać nie można. O tem wiedz. Ale nie rób sobie z tego nic. Nie damy się. My im to wydrzemy, to nasze życie, które oni spaść zamierzają powoli szczękami swojej cacanej buzi społeczno-familijnie-ciociowatej. Bierze ręce Julii, ściska je — potrząsa. Nie pozwolimy zamienić się w konie tramwajowe. Co — Julia — prawda? Mów.

JULIA.

Tak.

JERZY.

Bo uważała dziewica...

PODLIPSKA wchodzi, staje pod ścianą, śmieje się.

...że jest pewien gatuneczek dwunogów, które bezwzględnie, absolutnie nie umieją gapić się na księżyc i gwiaździątka. — Co? Prawda?

JULIA.

Tak.

JERZY.

Które nie czują tego osobliwego dotyku rzęs niebieskich ślepków tych jasnych, tych złotych rzęs, które suną się po naszych twarzach,

po naszych duszach, po naszych piersiach, tak pieszczą, tak lekko muskają, że wpada się w zachwyt, w pół świadomy błogostan, że to jest rozkosz szalenie miękka, granicząca z torturą — że to są cierpienia przepojone takimi cudami rozkoszy, o jakich nie śniło się nigdy szanownym i szanującym się — naszym porządnym filistrom.

PODLIPSKA kładąc rękę między Julię i Jerzego.

Ta-ta-ta-ta-ta-ta!

JERZY zatoczył się.

A niechże panią, przepraszam. Tak się przestraszyłem. Mogłaby też pani mieć więcej taktu i nie pchać się tutaj... przepraszam, przepraszam panią, panno Stanisławo, ale jestem zdenerwowany, bezsenność. W ogóle zasadniczo jestem stary waryat.

PODLIPSKA.

A ja — Stanisława Podlipska.

JERZY.

Stary dowcip, panno Stanisławo Podlipska, marny dowcip. Ma pani czas, mogłaby pani wymyśleć coś lepszego. Zmierzył Podlipską od stóp do głów, wyszedł.

PODLIPSKA do Julii.

Oczy ma ładne, tego zaprzeczyć nie można. Znowu, widzę, zaprowadził cię na szczyt góry — i pokazywał swoje królestwa. Lubię tego poetę. Wiatr wyprawia mu wielkie harce po obu kieszeniach, a on mimo to pluje w koło jak najęty. Kogoż on znowu oplwał? Mniejsza o to. Przychodzę poradzić się ciebie: we środę, na tym zaręczynowym wieczorze, nie wiem, jak wystąpić. Jak myślisz, wypada, bo ja mam wielką ochotę włożyć... E. Ee! To tu widzę, coś nie na żarty były wyścigi dwóch kometów?

JULIA.

Daj mi pokój.

PODLIPSKA,

Hm. Źle się dzieje. No? Przedemną tajemnice? Kochasz tego Boreńskiego?

JULIA.

Jezus, Marya, daj mi pokój z romansami! Co ja wiem. Czy ja go kocham, czy nie?! Wiem tylko, że ja chcę żyć, a oni mnie zabijają, wszyscy, wszyscy — on także mnie nie oszczędza.

PODLIPSKA.

Szaleniec. Chyba nie proponuje ci małżeństwa? Chociaż po takim dramatycznym poecie — można się wszystkiego spodziewać. Czegoż on chce?

JULIA.

On chce tego samego, czego i ja chcę. Tylko ja boję się. I sił brak. I — i — to jest wstrętne, pieniędzy niema.

Powiedz mi, Stacha, czy, gdyby wszyscy zaczęli na mnie sarkać i odstąpili mnie...

PODLIPSKA obejmując Julię.

No, już... już... już... wiem. Nigdy Jula, nigdy. Bo cię lubię, no i dla tego!

JULIA.

A gdybym ja z domu poszła i mieszkała sama i z Rolewskim zerwała?

PODLIPSKA.

To powiedziałabym, że jesteś szalona, ale to już kompletnie.

JULIA z goryczą.

Wtedy nie podałabyś mi ręki.

PODLIPSKA.

O, nie tak tragicznie. Na mnie możesz zawsze liczyć. Jestem zanadto liberalna. Aha. Więc tak się mają rzeczy? I naturalnie pan Boreński chce mieszkać w bliskości ciebie? Co?

JULIA.

Ty jesteś zła. Pfuj. Mam mieszkać sama.

PODLIPSKA.

Jakto, jakto, jakto? »Mam mieszkać sama«! Czy to już postanowione?

JULIA.

Postanowione. Prawie postanowione.

PODLIPSKA.

Haha. Naturalnie. Otóż to masz tych panów wypchanych marzeniami. To przecie jasne. Chce sobie zrobić z ciebie metresę.

JULIA.

Przestań!!

PODLIPSKA.

No, moja droga, na to niema innego wyrażenia. Tego nikt inaczej nie nazywa, t. j. wszyscy tak nazywają.

JULIA.

Ale ty, ty nie powinnaś tak tego nazywać. O Boże, Boże. Co ja mam robić. Co robić —! Metresa, metresa! Nie, do tego braknie siły. To już jest ponad siły. O!

JERZY wchodzi szybko.

Wracam.

JULIA przestraszona.

A—.

PODLIPSKA.

Pan podsłuchiwałeś?

JERZY.

Podejrzenie godne ust, z których wyszło. Ja pani podobnego pytania nie zadałem, gdy tu wchodziłaś pani. Patrząc to na Julię, to na Podlipską. Nie trzeba nadzwyczajnego wytężenia w mózgownicy, aby się domyśleć, o czem tu mogła być mowa w tej chwili. do Podlipskiej. zwłaszcza znając panią!

PODLIPSKA.

No, więc — do czego to prowadzi.

JERZY.

Tak?! Żądam od pani, abyś raczyła powtórzyć radę, którą dawałaś pani przed chwilą pannie Julii.

PODLIPSKA.

A?! Mój panie: jakiem prawem podobne —

JERZY.

Jakiem prawem? Bez prawa. Bez uzasadnienia. Żądam tego.

PODLIPSKA.

Julia — słyszysz?

JERZY parskając oburzeniem.

Jakiem prawem? Jako przyjaciel panny Julii. Hehe. Mnie Serba ni swat — ni brat i zupełnie mnie nie zajmuje jego stosunek do pani, a pani do jakiegoś tam Goreckiego, czy coś podobnego.

PODLIPSKA.

Haha. Zaczyna być komiczne. Powtórnie pana pytam — jakiem prawem pan odważasz się w ten sposób do mnie mówić?

JERZY.

Tem samem prawem, o jakie opierając się — wyrażam moje najgłębsze politowanie dla tego rodzaju kobiet, do jakiego pani należy. Tak.

PODLIPSKA.

Jula. Ten pan policzkuje mnie.

JERZY.

A więc tak. Stało się. Nazwała to pani policzkiem — i ja tego inaczej nie nazwę.

A teraz, panno Julio, po tem, co tutaj zaszło »niestety« czy »na szczęście« — wszystko mi jedno! — jedno z nas dwojga ten pokój opuścić musi. Ja, albo ta... panna Podlipska.

BOREŃSKI i PODLIPSKA z oczekiwaniem patrzą na Julię.

JULIA stoi bez ruchu, bez myśli.

JERZY wargi ściął, głowa do góry. Spokojnie.

Zrozumiałem. Ukłon. Odchodzi. W drzwiach Szkoda was, panno Julio!

Smutnie skinął głową, odszedł.

JULIA. Wybuch łez. Pada przy fotelu na kolana.

PODLIPSKA wyjmuje chusteczkę. Wargi i powieki drżą. Chusteczkę szarpie w zębach Cofa się, zatrzymuje; cicho wychodzi.

JULIA wstała, rozgląda się, kilka kroków, stoi.

Jerzy. Jura. Stasiu. Kilka kroków. Jurek. Stasiu — Jura!!! biegnie, staje, zatacza się.

Nie zostawiajcie mnie samej!! Zachwiała się — szuka oparcia o ścianę. Głowa opada na piersi. Tak stoi rozkrzyżowana.

W pokoju jest ciemno.

ROLEWSKI wraca. Szuka Julii.

Julciu... jestem —.

Koniec Sieci.

J.-A. KISIELEWSKIEGO:

KARYKATURY. Komedya.

W SIECI. Wesoły dramat. Dylogia:

I. W sieci.

II. Ostatnie Spotkanie.

(Dwa wydania).

SONATA. Dramat.

O TEATRZE JAPOŃSKIM.

O LITERATURZE PSEUDOROMANTYCZNEJ.

(Przy książce »Karykatur«).

W SIECI

wystawiono na scenie Teatru Miejskiego
w Krakowie po raz pierwszy
dnia 31 stycznia 1899. r.

Adres autora:
123, bld. St. Michel, Paris.

NAKŁADEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO WE LWOWIE.
SKŁAD GŁÓWNY: LWÓW, UL. MOCHNACKIEGO, L. 6.
DRUKIEM W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.